Numer 19. Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 12 Maja 1929**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

W biurze.

— Panie praktykancie, co to znaczy? Przecież mi pan opowiadałeś, żeś nie mógł wczoraj być w biurze, ponieważ pański kuzyn złamał nogę — a ja go w tej chwili spostrzegłem przez okno spacerującego?

— Tak? Widać jeszcze nie wie o swojem nieszczęściu.



Komplement.

Nowy lekarz zakładu dla obłąkanych przechadza się po parku zakładowym. Zbliża się jeden z pacjentów:

— Panie doktorze my wszyscy wolimy pana niż jego poprzednika.

— Bardzo mnie to cieszy odpowiada lekarz, ale proszę mi powiedzieć dlaczego?

— Ach panie doktorze, bo pan jest zupełnie inny: taki sam jak my wszyscy.



Obraza.

— Tatusiu, jeden chłopiec powiedział, że ja tak samo wyglądam, jak ty, tatusiu.

— A coś ty mu na to powiedział?

— Nic!

— Dlaczego nic?

— A bo on jest silniejszy odemnie!

Na co czeka Marszałek Piłsudski?

Po pamiętnem wystąpieniu marszałka Piłsudskiego, marszałek udał się bezpośrednio do mieszkania marszałka Senatu Szymańskiego, gdzie został na obiedzie.

Naturalnie rozmowa toczyła się o wypadkach w Sejmie, przyczem pod koniec obiadu pani Szymańska rzekła z podnieceniem:

— Panie marszałku, już chyba czas skończyć z tą opozycją. Poco przypatrywać się temu bezczynnie. Trzeba działać. Na co pan marszałek jeszcze czeka?

— Na kompot — odparł spokojnie Piłsudski.



Skarga lokatora.

— Panie gospodarzu, obowiązkiem pańskim jest interwenjować, gdy w jednem z mieszkań pańskiego domu żona urządza mężowi awantury. Przecież sąsiedzi nie mogą zasnąć!

— Czy pan jest sąsiadem awanturującej się damy?

— Nie jestem jej mężem...



Radykalny środek.

— Mam okropny ból głowy...

— Et, głupstwo. Gdy mnie zaboli głowa, moja żona daje mi całusa — i jestem zdrów!

— A... proszę pana, czy zastanę ją teraz w domu?

Numer 19. Rok XII. Kraków, dnia 12 Maja 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Wniebowstąpienie Pańskie.



Wstąpienie Pana Jezusa do nieba czternastego dnia po zmartwychwstaniu jest niejako ukoronowaniem Jego życia i męki krzyżowej. Jest ono zarazem jeszcze jednem stwierdzeniem niezaprzeczonej boskości Zbawiciela. Bo jakkolwiek samo Narodzenie się Pana Jezusa było w rzeczywistości wielkim aktem, gdyż tu sam Bóg zniża się, przybierając ciało człowieka, to przecież fakt ten dla zwykłego śmiertelnika w jego pojmowaniu rzeczy nie wiele mógł znaczyć. Wszak tyle ludzi rodzi się na świecie, a zdarzenia te mijają bez wrażenia.

Stokroć większe znaczenie miało Zmartwychwstanie Pana Jezusa. Było ono stwierdzeniem boskości Zbawiciela, gdyż żaden zwykły śmiertelnik sam o swej mocy z grobu powstać nie może. Powstawali z grobów i ludzie, jak na przykład Łazarz, ale czynili to na rozkaz Boży i na mocy woli Bożej. A czyż można przypuścić, aby Pan Bóg dopuścił do Zmartwychwstania Pana Jezusa, gdyby On nie był Bogiem?

Zapewne że nie, ale przecież złość i podejrzliwość ludzka nie ma granic. Mogli się znaleść tacy, którzyby popróbowali faktowi temu zaprzeczyć. Mogli bowiem powiedzieć, że to nieprawda, że Pan Jezus nie zmartwychwstał, ale że był żywy złożony do grobu, że po trzech dniach spoczywania w nim przyszedł do sił i grób ten opuścił. Mogli byli zbagatelizować i na swój sposób wytłomaczyć Jego straszną mękę na krzyżu i przebicie boku Jego włócznią i śmierć okrutną, aby tylko zaprzeczyć boskości Zbawiciela. I dlatego potrzebny był akt trzeci, który stawał się koroną całej prawdy, że Jezus Chrystus był Bogiem, a mianowicie Jego chwalebne Wniebowstąpienie. Po Wniebowstąpieniu Pana Jezusa nie mogło być już najmniejszej wątpliwości, że był On Bogiem.

Czterdzieści dni po Zmartwychwstaniu zawiódł Zbawiciel Swych uczniów na górę Oliwną. U stóp tej góry w Ogrojcu rozpoczęła się męka Pańska, na szczycie więc tej góry miała się objawić chwała Jego w całej pełni. Pan Jezus, wszedłszy na szczyt góry w gronie Apostołów i uczniów, wzniósł dłonie ku niebu i pobłogosławiwszy ich, wzbił się ciałem ku niebu. Wzniósł się własną siłą z ciałem i duszą, a towarzyszyły Mu dusze wybawione z piekła, które z swym Odkupicielem podążyły na nowe mieszkanie w towarzystwie aniołów i świętych.

Na Jego spotkanie wyszły zastępy duchów szczęśliwych i witały Go z uniesieniem. Święty Hieronim powiada, że Pan Jezus wycisnął na ziemi ślady Swych stóp świętych i że te widać było jeszcze za czasów, gdy żył święty Hieronim na ziemi.

Przez Wniebowstąpienie okazał nam Chrystus jeszcze inną rzecz, a mianowicie wskazał nam na otwarte niebo, dokąd i my za Nim pójdziemy, o ile iść będziemy drogą przez Niego wskazaną i słuchać Jego nauki. Św. Leon, papież, pisze: „Wniebowstąpienie jest dla nas powodem świętej radości, ponieważ jest ono naszem wywyższeniem i uprawnia nas do nadziei, że gdzie jest głowa, tam dostanie się i ciało, cieszmy się więc i radujmy w Panu, dziś mamy bowiem nietylko pewność, że się dostaniemy do raju, lecz w Chrystusie wstąpiliśmy do nieba, które nam wydarła zawiść szatańska".

Wielbiąc Jezusa, który po Swem Wniebowstąpieniu zasiadł po prawicy Ojca Swojego, nie zapominajmy, że nas przecież nie porzucił, ale jest nadal i z nami na ziemi i rozumie On najlepiej litościwem Swojem Sercem nasze biedy i nasze udręczenia i kiedyś nam to wszystko stokrotnie wynagrodzi. Ale zwracajmy się zawsze do Niego z całą ufnością, albowiem dobroć Jego jest nieprzebrana, a miłosierdzie nieskończone.

ANTONI ST. BASSARA.

Branki tatarskie.

Powieść na tle historycznem.

ROZDZIAŁ IV.

Pościg.

Omdlenie pana Jaszczura nie trwało długo. Lipkowie wynieśli go na pole, wylali mu kilka wiader wody na głowę, więc Stach wkrótce oczy otworzył, zerwał się na nogi i począł pytać, czy niema jakiej wieści o napadzie. Ale Lipkowie sami dotychczas nic nie wiedzieli, gdyż nie pytali o nic nikogo, albowiem byli zajęci ratowaniem omdlałego. Dopiero teraz, kiedy wrócił do przytomności, zbliżyli się doń wieśniacy, a prowadząc go do pana Stawskiego, opowiadali o strasznych przeżyciach nocy ubiegłej.

Z mętnych i zagmatwanych opowiadań Stach zdołał sobie jednak wytworzyć jasny obraz tego, co tutaj zaszło. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy ci, których ciał brakło na pobojowisku, zostali przez czambuł tatarski uprowadzeni i teraz znajdują się już conajmniej o kilka godzin drogi od Jampola. Można było jednak wnioskować, że Tatarzy nie uszli zbyt daleko. Byli oni bowiem zmęczeni tak poprzednim pochodem na Jampol, jak i samą potyczką w Jampolu, a powtóre w zbyt szybkim pochodzie przeszkadzały im łupy dość duże, jakie z Jampola uwieźli. Prawdopodobnie gdzieś w pewnem oddaleniu od Jampola, gdzie się czuli już względnie bezpieczni, musieli zdobycz uporządkować i choćby prowizorycznie pomiędzy siebie ją podzielić. Tak wnioskował Stach i za tem przemawiało wieloletnie doświadczenie. Wobec tego nic jeszcze nie było straconego i istniała nadzieja, że pościg może się udać i że będzie można łupy Tatarom odebrać.

Stach wydał potrzebne rozkazy.

Puszczono konie na łąki, które bujną zielenią otaczały Jampol, a Lipkowie pomyśleli o swojem pożywieniu. Wprawdzie w Jampolu go nie było, ale oddział posiadał pewne zapasy z odbytej wyprawy, więc też było czem głód zaspokoić. Zresztą ludzie ci, przyzwyczajeni do ciągłych pochodów i utarczek na szerokich polach Ukrainy, byli nauczeni obchodzić się byle czem, a bywały czasem i dni całe, że do ust pożywienia nie brali, a jakoś przetrzymywali.

Po godzinnym wypoczynku i pożywieniu się Stach kazał siodłać konie i cały oddział wyruszył za wrota dworu jampolskiego, pławiąc się w blaskach wschodzącego słońca. Oddział skierował się ku południowi, gdyż nie było wątpliwości, że w tamtą stronę udał się czambuł, aby dostać się w lasy bielcańskie i zaszyć się w nich przed pościgiem.

O kilkadziesiąt kroków przed oddziałem jechał Stach, mając przy swym boku oddanych sobie całą duszą Ibrahima i Selima. Bystre jego oko śledziło za śladami uchodzącego czambułu. Były one widoczne, gdyż znaczyła je stratowana trawa kopytami końskimi i porzucone na ziemi niepotrzebne drobiazgi, zabrane w pośpiechu wśród rabunku. Były i inne ślady. Oto ujechawszy niewielki szmat drogi, napotkali Lipkowie zwłoki kobiety z przeszytą piersią, trzymającą w martwych dłoniach również martwe zwłoki małego dziecięcia. Widocznie kobieta owa, albo była zawadą jakiemuś Tatarowi w ucieczce, albo stawiała mu opór, a że była już starsza i niezbyt urodna, więc też bez ceremonji pozbawił ją życia i jako niepotrzebną zawadę porzucił na drodze. Napotkano też jeszcze kilka innych trupów po drodze, a jeden z nich trzymał w dłoni garść włosów tatarskich, widocznie nim poległ, stoczył zaciętą walkę z swym ciemiężycielem. Tu i ówdzie widać było pomiędzy odciskami kopyt końskich skrwawione ślady stóp ludzkich. Wynikało z tego, że Tatarzy część swego jasyru pędzili pieszo, a więc ujść daleko nie mogli...

Ślady prowadziły, jak to przewidział Stach, ku południowemu zachodowi, wzdłuż Dniestru. Dopiero w pobliżu Kuźmina odsadzały się nieco ku wschodowi, aby ominąwszy go, znów bliżyć się ku Dniestrowi.

Tatarzy szli marszem pospiesznym, gdyż nigdzie nie było widać śladu, aby odpoczywali. Zapewne chcieli wpierw przeprawić się przez Dniestr i dopiero gdzieś w lasach bielcańskich po prawym jego brzegu odsapnąć troche po ciężkich przejściach dni ostatnich.

Obserwując ślady uchodzących Tatarów, Stach stropił się nieco, gdyż po liczbie ich mógł wnioskować, że czambuł liczył do czterech setek ludzi, a oddział Stacha nie przenosił ani setki. Szanse jednak spotkania wyrównywały się o tyle, że Lipkowie byli swobodni i mieli walczyć, choć nie wszyscy, ale kilku z nich o swe umiłowane dziewczęta, gdy natomiast Tatarzy, obarczeni łupem, musieli bronić nietylko życia, ale i zrabowanego mienia, tak martwego, jak i żywego. Liczył więc Stach, że szanse zwycięstwa się wyrównają, a znany mu zapał i odwaga Lipków ostatecznie szalę przechyli na jego korzyć.

Szło teraz o to, aby tylko czambuł ten dopędzić i wsiąść mu na karki, zanim zdoła się przez Dniestr przeprawić.

Poza Kuźminem ślady uchodzących Tatarów jednak się rozdzieliły. Większość ich prowadziła ku Dniestrowi, reszta zaś odsadziła się ku wschodowi w stronę Olgopola.

Chwilę Stach się zawahał, w którą skierować się stronę. Wszystko jednak przemawiało za tem, że główne siły tatarskie poszły za Dniestr, a jeno część niewielka podążyła ku wschodowi, aby albo zbadać okolicę, albo też uszczknąć gdzieś jeszcze nieco łupu.

Przewidywania Stacha potwierdził fakt, który zarazem dał mu do poznania, że tu myślano o nim i że spodziewano się pościgu. Oto o kilkanaście kroków, gdzie się ślady rozdzielały, zobaczył Stach na ziemi kawałeczek różowej wstążeczki, wdeptanej w ziemię kopytami końskimi. Zsiadł co żywo z konia i podniósł ów drobiazg. Poznał natychmiast, że był to strzępek z wstążki, jaką często nosiła na swej szyji jego umiłowana Hanusia.

— Słodkie dziewczę! — szepnął. — Pokładasz wiarę we mnie, że cię nie opuszczę. Bądź pewna, że raczej zginę, aniżeli miałbym cię pozostawić bez pomocy. I już chyba tak się stanie, że wrócimy obydwoje, albo żadne z nas nie wróci!

Mimo jednak znaku i tej pewności, że Hanusia a z nią wszyscy brańcy pomocy jego się spodziewają i na pomoc tę czekają, nie pozwolił zbytnio koni męczyć, bo jako żołnierz wytrawny wiedział, że wysilone zwierzęta pochodem w najważniejszej chwili mogłyby zawieść i obrócić w niwecz całe przedsięwzięcie. Jechano więc rysią i coraz bardziej zbliżano się ku Dniestrowi.

Nagle nad rzeką ślady się urywały. Widocznie tutaj przeprawili się Tatarzy wraz z całym łupem na brzeg prawy Dniestru.

Jakoż tak musiało być w rzeczywistości, gdyż na drugim brzegu wody widać było przymocowane do drzew tratwy a koło nich kręcących się kilka ciemnych postaci.

Stach zawrócił ku swemu oddziałowi i zatrzymał go w miejscu. Nie można było zdradzać swej obecności, aby się Tatarzy nie przygotowali na atak. Trzeba było wyszukać inne przejście i zajść Tatarów z boku, zaskoczyć niespodzianie, uderzyć znienacka i nim się spostrzegą do cna rozgromić. Ukrył więc Lipków za wzgórzem wśród zarośli, a sam poskoczył dalej ku południowi, aby zbadać okolicę.

Zaledwie ujechał niewielki szmat drogi, uszu jego doszedł jakiś przytłumiony odgłos, jakby tętent kopyt końskich nadciągającego oddziału. Stach wstrzymał konia i zeskoczył na ziemię. Przyłożył ucho do ziemi i czas jakiś nadsłuchiwał.

Tak! Nie mylił się; od południowego wschodu nadciągał jakiś oddział jezdnych i to oddział dość znaczny. Tętent bliżał się coraz bardziej. Nie wiadomo było jednak, kto to mógł być; czy część Tatarów, którzy odłączyli się od głównego czambułu, czy też jaki oddział wojsk polskich, patrolujących w tych okolicach. Trzeba było się o tem przekonać, nim można było coś postanowić. Musiał Stach czekać, bo innej rady nie było.

Ale nie czekał długo. W jasnych blaskach prażącego słońca ukazali się dragoni polscy. Jechało ich kilku na rosłych i pięknych koniach. Była to, jak się można było domyślić, straż przednia jakiegoś większego oddziału.

Stach dosiadł konia i skoczył naprzeciw nich. Jakoż dowiedział się, że to ciągnie pan Krwawicz, który z dwustu ludzi wyruszył z Mohylewa przed kilku dniami, aby oczyścić okolicę z band tatarskich, które coraz śmielej i coraz dalej się pod owe czasy zapuszczały. W kilka minut nadciągnął i sam pan Krwawicz. Padli sobie ze Stachem w objęcia, gdyż znali się obydwaj dobrze i wiele chwil na wspólnych zabawach ze sobą przepędzili.

Obydwaj przyjaciele w krótkich słowach opowiedzieli sobie zdarzenia dni ostatnich. A więc Krwawicz, wyruszywszy przed kilku dniami z Mohylewa, zdołał w tym czasie rozgromić kilka mniejszych czambolików tatarskich i odebrać im zabrany łup, który następnie pod silną eskortą odesłał do swego miejsca postoju. Dziś wreszcie w porannych godzinach natknął się na niewielki oddział Tatarów i choć nic z niego uszczknąć nie potrafił, przerzucił go jednak na prawy brzeg Dniestru i poniechał, albowiem przekonał się, że żadnego łupu ze sobą nie uprowadza. Zresztą pojmanych kilku jeńców stwierdziło, że główny czambuł wraz z łupami gdzieś koło Kuźmina przeszedł na prawą stronę Dniestru. Za tym oddziałem postanowił pan Krwawicz przedsięwziąć poszukiwania i dlatego znalazł się w tej okolicy.

Z opowiadania swego przyjaciela Stach poznał, że oddziałek, o którym wspomniał Krwawicz, był to ten sam oddział, który się odłączył od głównych sił, jakie brały udział w najeździe na Jampol i że Krwawicz, jakby spadł z nieba, by mu przyjść z pomocą w jego pościgu. Mimowoli drogi ich prowadziły do jednego celu.

Dwaj przyjaciele odbyli krótką naradę.

Jak można było ze wszystkiego wnosić, Tatarzy nie oddalili się zbytecznie od miejsca przeprawy. Zapewne zaszywszy się w lasy bielcyckie, rozłożyli się w nich, aby nabrać nowych sił do dalszego pochodu. Prawdopodobnie po odpoczynku skierują się ku południowi między Bielcą a Orgiejem, aby się przemknąć pomiędzy tymi ludnymi osadami i podążą nad Prut ku granicy multańskiej.

Trzeba było więc zajść im od południa, aby im przeciąć drogę ucieczki. Postanowiono więc, że dokona tego pan Krwawicz ze swoimi dragonami, podczas gdy Stach z Lipkami pójdzie w ślady uciekających.

Zawrócił więc pan Krwawicz w stronę Raszkowa, podczas gdy Stach powrócił do swych Lipków, aby wydać im odpowiednie rozkazy.

Wstąpiła otucha w serce strapionego Stacha. Nie wątpił już teraz, że gdy tylko przyjdzie do spotkania, to broń polska weźmie górę nad dziczą tatarską, bo w sukurs jego Lipkom przychodzą tacy wojacy, jak doświadczony nad wiek pan Krwawicz, jak wachmistrz dragonów Jan Burtan, i jak ich podkomendni Kasper Trzaska, Paweł Smoła, Wawrzek Ożóg i inni, z których każdy mógłby być oficerem a nie prostym żołnierzem, tak dobrze bowiem sztukę wojowania znali i niejeden łeb tatarski już rozszczepili.

Stach, powróciwszy do swych Lipków, ściągnął ich trochę ku północy i nad Dniestr przyprowadził. Wyszukano miejsce, gdzie woda nieco szerzej się rozlewała i stawała się wskutek tego płytszą.

Nie czas było na sporządzanie jakichkolwiek tratew. To też Lipkowie momentalnie pościągali z siebie ubrania, przytroczyli je do siodeł i pchnęli konie w wodę, czepiając się sami ich ogonów. Snać zwierzęta czyniły to nie poraz pierwszy, gdyż śmiało poczęły płynąć ku przeciwnemu brzegowi Dniestru. Sine wody rzeki pokryły się masą głów końskich i ludzkich. Oprócz sapania nozdrzy końskich i ciężkiego oddechu piersi ludzkich nic więcej nie było słychać. Od czasu do czasu jeno odezwał się plusk wody, ale i ten wkrótce skonał wśród ponurej ciszy.

Wnet jednak kopyta końskie poczuły pod sobą grunt twardy, tułowia poczęły się wyłaniać z wody, a wśród nich wyrastały postacie ludzkie i od ogonów zbliżały się do głów swych wierzchowców.

Nareszcie pierwsi jeźdźcy stanęli po przeciwnym brzegu rzeki. Konie strząsły z siebie ostatki wody, ludzie powdziewali ubrania i wkrótce cały oddział był gotów do dalszej drogi.

Poskoczono do miejsca, gdzie się przeprawili Tatarzy. Ale już ani śladu po nich nie było. Znikli wraz z tratwami. Pozostawili tylko jako pamiątkę po sobie rozszarpane źrebię, nad którego szczątkami polatywało stado kruków i walczyło z sobą o każdy ochłap krwawej strawy.

Od miejsca przeprawy ślady szły w głąb lasu, a Stach upatrywał, czy nie zobaczy znów gdzie strzępka wstążeczki Hanusi, któryby mu dał pewność, że ona tu była i oczekiwała jego przybycia. Mimo jednak, że wzrok natężał i niby nie mogło było ujść jego uwagi, żadnego znaku odszukać nie zdołał. Wpatrywał się w ślady, po których jednak niczego domyślić się nie mógł. To jedno tylko zwróciło jego uwagę, że nie spostrzegał więcej krwawych śladów stóp ludzkich. Ale to nie dowodziło jeszcze niczego, gdyż albo Tatarzy zezwolili na obandażowanie poranionych nóg ludzkich, lub też tych, którzy wskutek ran dalej iść nie mogli, powsadzali na konie, aby przez to przyspieszyć pochód.

Tatarzy widocznie nie znali dobrze lasu bilcyckiego, albo też naumyślnie nie szli w najprościejszym kierunku, aby możliwy pościg zmylić, gdyż kołowali, rozbiegali się tu i tam, aby znów na dawne miejsce powrócić i iść przez czas pewien możliwie jak najbardziej zwartą masą. Ale znów za czas jakiś rozbiegali się, szli trzema i czterema szlakami, które, zataczywszy szerokie półkola, po niejakimś czasie łączyły się ze sobą i podążały dalej a dalej.

Myliło to wprawdzie pościg, ale zarazem i opóźniało ucieczkę.

Po godzinie jazdy Stach z Lipkami napotkali miejsce bardziej wydeptane i obszerniejsze. Widocznie tu Tatarzy zarządzili odpoczynek, aby zaczerpnąć sił do dalszego pochodu i pożywić się nieco.

Stach zatrzymał oddział i począł badać całą przestrzeń, czy nie zauważy coś, coby go mogło upewnić, że znajdował się tu i jasyr tatarski. Kołował, chodził, badał, jak ten pies gończy, ale wszystko napróżno. Ani najmniejszego strzępka, ani najmniejszego drobiazgu, któryby mu mógł wskazać, że tu ci, których poszukiwał, wraz z Tatarami się znajdowali. Szukał Stach, szukali i Lipkowie, ale wszystko napróżno.

Już miał Stach wydać polecenie dalszego pochodu, gdy przybiegł ku niemu Selim zdyszany z oznajmieniem, że niedaleko na leśnej polanie odpoczywali prawdopodobnie brańcy jampolscy, gdyż na jednej z gałązek drzewa zauważył jasny pukiel włosów. Mogły to być tylko włosy któregoś z jeńców polskich, gdyż Tatarzy jasnych włosów nie posiadają. Był to ślad, wprawdzie nikły, ale w każdym razie ślad świadczący, że tą drogą prowadzili Tatarzy swój jasyr.

Ale czy cały? A może część i to część co cenniejszą, a do tej musiały się zaliczać co urodziwsze dziewczęta, wysłali inną drogą, aby wrazie pościgu nie dać sobie jej odbić.

Takie myśli przeszywały mózg Stacha i wywoływały pot na skronie. Jakkolwiek jednak było, trzeba było iść naprzód, dopaść za wszelką cenę Tatarów, odebrać to, co z sobą prowadzili, a o reszcie od pojmanych jeńców się dowiedzieć.

Na chwilę tę, jak się zdawało, nie trza było długo czekać. Świeże odchody końskie, jeszcze dymiące, świadczyły, że Tatarzy nie znajdują się zbyt daleko. To też Stach od czasu do czasu zatrzymywał oddział, zsiadał z konia, przykładał ucho do ziemi i nadsłuchiwał, czy aby jakiego odgłosu nie usłyszy. Wprawdzie las tamował możliwe odgłosy, ale wprawne ucho pana Jaszczura uszczknęło wkońcu jakiś szmer niewyraźny, dochodzący jakoby z głębi ziemi. Natężył lepiej słuch, wpił się niejako nim w ziemię i zdołał wreszcie odróżnić, że pochodzi on z niezbyt wielkiej odległości.

— Są — szepnął — są i to niezbyt daleko. Selim, miejcie się na baczności, aby nam nie czmychli!

Selim poskoczył ku Lipkom, wziął ich kilkunastu i rzucił się z nimi w bok ku prawej stronie. To samo uczynił Ibrahim z drugą gartką, kierując się w przeciwnym kierunku. W pośrodku pozostał Stach z resztą towarzyszy. Nie trzeba było wydawać specjalnych poleceń, gdyż każdy tu wiedział, co i jak mu czynić należało.

Rozdzieleni na trzy grupki, dwie mniejsze, jakby ramiona i trzecią większą, niby ciało jakieś, szli Lipkowie na spotkanie Tatarów. Pomimo, że las tamował swobodę ruchów, posuwali się możliwie jak najszybcije. Każdy z nich skupił się we wzroku cały, aby jak najwcześniej zobaczyć przeciwnika i możliwie najniespodziewaniej go zaskoczyć, sam nie być zaskoczonym.

I jakoż po półgodziny takiej jazdy spostrzeżono Tatarów.

Ale, jak się zdaje, wprawne ich ucho pochwyciło również zbliżanie się pościgu, gdyż stali przygotowani do walki.

Spostrzegli to Lipkowie i ukryli się poza drzewami.

Lecz Tatarzy nie dali się zmylić. Wprawdzie nie rzucili się zaraz na przybyszów, ale wyczekiwali, jakby się chcieli wpierw przekonać, z jakimi siłami będą mieli do czynienia.

Nie mógł tego jednak strzymać Stach, któremu się spieszyło bardzo do krwawej rozprawy. Wyskoczywszy więc z ukrycia z podniesioną szablą, krzyknęli:

— Bij! zabij psubratów.

Stach, jak piorun, wpadł na pierwsze szeregi tatarskie, a za nim poskoczyli Lipkowie i zaczęła się dawno oczekiwana rąbanina. (Ciąg dalszy nastąpi.)

W niedźwiedziej skórze.

Żarcik.

Książę Radziwiłł, zwany „Panie Kochanku", że miał zwyczaj nieustannie tych słów używać, był bardzo wesołego usposobienia, mnóstwo też o nim opowiadają dowcipów i żartów, niekiedy rubasznych, jak na przykład ten, który tu opowiemy.

Jeden z arendarzy księcia nie zapłacił czynszu w oznaczonym terminie. Książę kazał go na cztery wiatry przepędzić. Biedny arendarz błaga, aby go kawałka chleba nie pozbawiano i prosi o inną karę.

— Każdą karę przyjmiesz, żydzie? — pyta książe.

— Przyjmę — odpowiedział arendarz.

— Więc czekaj; każę cię zaszyć w skórę niedźwiedzią i wsadzę do klatki z niedźwiedziem. Zgadzasz się żydzie, tchórzu jeden? Masz trzy dni czasu do namysłu!

— Dobrze! — odpowiada żydek, nie mogąc zdać sobie sprawy, czy książę żartuje, czy mówi poważnie.

Po trzech dniach zaszyli żyda w skórę niedźwiedzią i wsadzili do klatki. Żyd patrzy: w kącie klatki leży skulony niedźwiedź. Zląkł się arendarz, dech mu w piersi zamiera. Co tu począć?

Skulił się w drugim kącie klatki i leży, z miejsca się nie ruszając. Leży tak godzinę, dwie, trzy... Wzrok utkwił w niedźwiedzia, który wciąż leży w kącie nieruchomy...

— Może nieżywy? — pomyślał uradowany arendarz — spróbuję się przekonać.

Robi niepewny krok naprzód, niedźwiedź zrywa się też i też robi krok naprzód. Przestraszony arendarz cofa się w tył, niedźwiedź czyni również tosamo.

— Cóżby to być mogło? — myśli nasz arendarz. — Et, co tam! Raz kozie śmierć! Wszystko jest w rękach Boga, spróbuję...

Robi dwa kroki naprzód, niedźwiedź też robi dwa kroki naprzód...

Zetknęli się!...

— Izrael! — woła przerażony arendarz. — Szma Izrael!

— Adonaj Elohem, adonaj echod! — odpowiada niedźwiedź.

— Gwałtu! to zły duch, to nieczysta siła! — krzyczy biedne żydzisko.

— Nie rób hałasów, Icek — odpowiada niedźwiedź. — To ja jestem, Szmul, arendarz z pobliskiej wioski. Nie zapłaciłem czynszu w terminie, więc książę kazał mnie w skórę niedźwiedzia zaszyć i do klatki wsadzić.

Książę, litując się nad ich położeniem, puścił obu arendarzy na wolność, darując im opłatę czynszową. Skutek był tak znakomity, gdyż żydzi nigdy już więcej z czynszem nie zalegali.

Podobnych żarcików książę Radziwiłł robił sobie do syta, a wiadomość o nich roznosiła się szybko po całej Polsce i zjednywała mu dużo sympatyków. O wielu z tych żartów już dziś zapomniano, ale wiele jest opisywanych również w różnych książkach.

MARSZAŁEK POLSKI I FRANCJI FERD. FOCH.

W kwietniu b. r. zmarł w Paryżu jeden z największych mężów Francji, pogromca Niemców w wojnie światowej, marszałek Ferdynand Foch (czytaj: Fosz). Wielki bohater urodził się w 1851 r. w górzy-



Marszałek Ferdynand Foch.

stej okolicy Pirenejów, jako syn skromnego urzędnika. Ojciec oddał go do wojska, gdzie szybko przechodził stopnie wojskowe, a w roku 1895 został profesorem francuskiej Akademji wojennej.

W 1914 roku rozpoczyna, jako generał francuski, kampanję przeciwniemiecką, szybko dochodząc do dowództwa nad coraz to większemi jednostkami wojskowemi. Głównodowodzący armją francuską gen. Joffre (Żoffr), widząc jego wielkie zasługi w dowodzeniu odcinku frontu koło Nancy, zapewnia sobie jego najbliższe współpracownictwo, wreszcie w początkach roku 1918, kiedy to Niemcy, uwolniwszy swój front wschodni, przesunęli wielkie masy wojska do Francji i przeszli do rozstrzygającego ataku, nadeszła era jego największego czynu. Sprzymierzeni widząc, jak front ich, pozostający pod dowództwem nieskoordynowanem kilku generałów, gdyż na froncie zachodnim walczyły armje kilku państw, kruszy się pod ciosami młota germańskiego, zdecydowali się na powierzenie dowództwa naczelnego wszystkich wojsk generałowi Fochowi, który, mając wtenczas lat już sześćdziesiąt i siedm, mocą swej niezwykłej energji i wytrwałości, potrafił utrzymać ducha zwycięstwa w armji i ostatecznie Niemców pokonać.

Po skończonej wojnie nadała mu tytuł marszałka Francja, taki sam tytuł otrzymał od Anglji i Polski.

Francuzi sprawili swemu bohaterowi nadzwyczaj uroczysty pogrzeb. Rozdzwoniły się dzwony całej Francji, jak wielkie serce narodu francuskiego, ulice miast przystroiły się w sztandary i krepy żałobne. Lud odprowadził go do swego Panteonu — pałacu inwalidów, by prochy jego spoczęły obok wielkiego swego poprzednika — Napoleona Wielkiego. Trumnę otaczały orszaki przedstawicieli wszystkich narodów, o których wolność walczył; za lawetą, na której spoczywał, maszerowały błyszczące stalą bagnetów oddziały armij: francuskiej, angielskiej i czeskiej, szli oficerowie z buławami marszałkowskiemi Polski, Anglji, Francji, a wreszcie płynęła za karawanem szara masa tłumu, ogromna i mocarna, jak idea, którą wcielił w czyn.

I Polska ma dużo do zawdzięczenia marszałkowi Fochowi. Gdyby nie jego zwycięstwo nad Niemcami, na niceby się był nie zdał wysiłek narodu polskiego, na nic bohaterstwo braci naszych pod wodzą Piłsudskiego. Bylibyśmy, wyrwawszy się z niewoli rosyjskiej, popadli w niewolę niemiecką. Lwów, Wilno, Poznań i tyle innych miast polskich, nie wiadomo, jaki los byłby spotkał, to jedno tylko pewne, że Niemcy nie dopuściliby byli do przyłączenia ich do reszty ziem polskich.

Wielki syn Francji przyczynił się w dużej mierze do odzyskania wolności przez Polskę, dlatego też o nim w sercach naszych nigdy pamięć nie zaginie.

Polacy jeszcze za życia Zmarłego bohatera mieli sposobność okazać mu wielką cześć i szacunek. Kiedy bowiem przed kilku laty przybył do Polski, witano go nadzwyczaj serdecznie, a ulice miast, któremi przejeżdżał, były wprost zasłane kwiatami. Pobyt swój w Polsce śp. Marszałek wspominał zawsze z wielką przyjemnością i zaliczał go do najprzyjemniejszych chwil życia, czemu dawał wyraz niejednokrotnie w swych listach do swych polskich przyjaciół. Za tę miłość, jaką darzył naród polski i my otaczaliśmy go zawsze wielką miłością i pamięć jego będziemy czcili po wsze czasy. Zgasł wielki przyjaciel naszej Ojczyzny, których tak niewielu mamy.

Na obrazkach naszych widzimy: na pierwszym portret marszałka Focha żywego, na drugim zmarłego, leżącego w trumnie na katafalku.



Marszałek Foch na katafalku.

Maciek Bzdura gada:

Nima piekniejsego i kochańsego miesiąca, jak ten nas maj ukochany. W maju jesce bardziej żyć się chce człowiekowi i jesce mniej umirać, jak w inksem miesiącu. Wszędzie, gdzie się ino rusys, to taka wesołość, jak po dobrem jedzeniu, abo wyspaniu sie. Pastuchy juz wyganiają bydełko na pasę, a przy niem helukają, a na fujarkach wygrywają, jaze sie dusa raduje i omal z człowieka z wielkiej radości, którą dziurką nie wyskocy. Starsiejsi ciągną w pole do roboty, a ta idzie jem jak po maśle, bo se kużden przez te długaśną zimę odpocął i jest bez to silniejsy i krzepciejsy.

W maju nawet człekowi w panieńskiem stanie zyć milej na świecie, bo choć tam do niego zadna dziopa swojej jadacki nie wykrzywi, zębów nie pokaże i ślipiami na niego nie zyrknie, to przecież za to kużden kwiatek do niego sie uśmicha, i kużda trawka do niego wzdycha. A takie kwiatki i trawki to są najmądrzejse nawet od ludzi, bo one nie przebierają, do kogo i jak się umizgnąć, ale traktują wszyćkich jednakowo, i latego są mądre. Im wszyćko jedno, cy to idzie taki, Boże odpuść, Maciek Bzdura, cy łokomon ze dworu, cy pan organista, cy nawet sam pan dziedzic jaśnie wielmozny z Zatraconej Wsi. One tak do mnie, jak i do jegomości, jak i do kuzdego mrugają swemi kolorowemi ockami i wabią ku sobie i ciesyć się kazą, że to zima juz niebokscka, a zwiesna na świecie, jak sie patrzy.

Oj zeby to ten maj całe lata trwał, to byłoby na świecie i milej i weselej, ale cóż... trzydzieści dni z kropką minie i choćbyś, jak ciele, na cały pysk becoł, to on za nic nie wróci, jaze znowu za bezrok.

A juz co mi sie najlepiej podoba, to te litanije majowe w nasem kościółku po połedniu. Poschodzą sie ludziska z całej Psiej Wólki, z całej Zatraconej Wsi do kościółka, zaświcą świce, jegomość sie wystroją, jakby na wesele jakie, a pan organista wylizie na chór i tak sie tam pieknie drze, jakby go ze skóry obdzierali. A potem cały kościół buchnie taką serdeczną prośbą do Najświętszej Panienki, ze jaz sie człowiekowi mdło na sumieniu robi i myśli se, poco ludzie są tacy źli na świecie, kiedy mogliby być wszyscy dobrzy. I widzi mu sie, że jakby kużden la kużdego był dobry, to i jemu samemu byłoby dobrze na świecie, a wszelką złość wziąłby se djabeł do piekła i nie byłoby jej więcej na świecie.

Po śpiwaniu opedzą jegomość jaką gadkę od luntarza, pokropią święconą wodą ludzisków i człek wraca do chałpy, jakby sie w jakiej wodzie wykąpał — taki jest lekki i spokojny.

Ale powiadają starsiejsi, że na świecie są ludzie i ludziska i nie wszyscy idą do kościółka na pomodlenie sie. To się wie i o tem nie trza gadać, bo ja to sam widze dobrze. Takich porządnych, jak ja, jegomość i pan organista to nie wiele jest w nasej wsi. Inksi to nie idą na modlitwę, ale wielu z nich uzywa kościółka na obrazę Pana Jezusa i Matki Najświętszej. Przyjdźcie do nasego kościółka, to sami ujrzycie, jak tam wszyćkie dzieuchy zamiast patrzyć ino na samego jegomości, to strzylają ślipiskami po chłopakach i uważają, który śnich śwarniejsy w sobie. A chłopaki to samo i juz naprzód se umyślują, który z którom będzie wracał do chałpy i gdzie ją po drodze uscypnie z wielgiego umiłowania.

A starsiejse baby, co to juz bez starość mają wźrok przytępiony i śturkaców dojrzyć nie mogą, posiadają se w ławkach i kiwają głowami, jakby chciały jegomości przychwalać ,że dobrze powiadają. Takby się zdawało, a one se drzymią w najlepse, a budzą się ino wtedy, jak którą dobrze pchła pod spodnicą upali i do przytomności przyprowadzi.

Stare chłopy to ino w kieseni fajecke poprawiają bo się im jegomościne kazanie dłuży i radziby corychlej wyjść na pole i zaćmić se krzynkę, jakby bez kurzenia świat ni mógł istnieć.

Ino nas trzech, to. jest jegomość, pan organista i ja zachowujemy się, jak potrza. Jegomość albo śpiwają, albo gadają naukę, albo odmawiają breweryjarz, to ni mają czasu na co inksego; pon organista ni mogą sie zdrzymnąć, boby zaraz organy przestały bucеć i wszyscy ludzie wiedzieliby, że z organistą jest cosik nie tego. Ogania się więc bidacysko, jak może i bez to jest potem taki zły, jak zejdzie z chóru, że ani sie do niego obezwać ni można. A ja bez calusieńką majówkę patrze na ołtarz i myślę se, poco to Pan Jezus baby na świecie stworzył, kiedy śnich nima żadnego la kawalira pożytku, ino samo utrapienie. Już to chyba stało się na pokaranie ludzkie, że oni są tacy źli i niepoprawni.

A zdaje mi się, że i Matce Bosce moje myślenie się podoba, bo bez cały cas, jak się na Nią w ołtarzu patrzę, to się ani razu nie skrzywi, ale ciągiem jest uśmichnięta i rozweselona.

A co najważniejse jest z tych nabożeństw majowych, to to, że jak się idzie do kościółka, to ani w polu, ani w chałpie robić nie trza. I pono bez to tak wiele ludzi chodzi na nie z ochotą. Ale z tych, co idą, to ponoć ino poniktóry idzie tam na modlitwę, a reśta na odpocnienie. Takiem zdaje się, że uda im się Pana Jezusa osukać, ale PonJezus wszyćko wie i takiem nie bierze tego za zasługę, ale jesce za jeden grzych więcej, który się nazywa próżniactwem.

Wiosna.

Na tęczy falach, pozłocie zórz
Królowa łąk i borów
Spływa dziś do nas z poza mórz,
Umaja kwiatem czoła wzgórz —

Rozpuszcza ptasi skrzydlaty chór
Słowiki i skowronki,
By nimi brzmiał i gaj i bór
Pola i nasze łąki.

Rozchyla pączki śpiących drzew
I stapia zimne lody,
Wokoło szumi wiosny wiew
I budzi się świat młody

O wiosno nasza! Królowo Ty
Rozpłomień serca nasze!
Zmyj z twarzy naszych ból i łzy,
Niech nam zakwitną, róże, bzy —
I słońce wejdzie w poddasze!

Robert Rydz.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Indje V.



Amber. — Stary zamek maharadży.

Powiedzieliśmy w jednem z poprzednich opowiadań, że Indje należą do Anglji. Powiedzenie to nie jest jednak zupełnie ścisłe; zwierzchnią władzę dzierżą tam wprawdzie Anglicy, ciągną z tej bogatej krainy olbrzymie zyski dla siebie, ale zostawiają jednak pozór samorządu dla Hindusów. A więc jest wielu maharadżów, coś jakby udzielnych książąt, którzy zarządzają swoimi prowincjami, ale muszą zarządzać tak, jak chcą Anglicy i wszystko stosuje się do ich rozkazów. Że taki stan rzeczy daje się utrzymać, to mogą zawdzięczać Anglicy swojemu taktowi, z jakim postępują wobec krajowców. Dzierżąc sami władzę, pozostawiają jednak pozory, że ta władza spoczywa w rękach maharadżów. A zresztą maharadżowie są za leniwi, aby myśleć o czemś więcej poza swoimi bogactwami, które mają olbrzymie, i poza haremami, które mają bardzo liczne.

Maharadżowie mieszkają w wspaniałych pałacach i zamkach. Jeden z takich starych zamków w Amber widzimy na naszym obrazku. Zamki te urządzone są wewnątrz z nadzwyczajnym przepychem, a zewnątrz otaczają je wspaniałe ogrody, pełne drzew i krzewów najróżnorodniejszych, jeziorek i basenów, w których dla przyjemności chowają sobie krokodyle i inne potwory wodne. Podobno dawniej krokodyle te karmiono podstarzałemi i wybrakowanemi mieszkankami haremów. Poprostu gdy maharadży sprzykrzyła się któraś z żon, wyznaczał ją na pożywienie dla swych ulubieńców wodnych. Mniej mu było żal żony, o którą dlań było nietrudno, jak krokodyla, którego ułowienie było dość trudne.

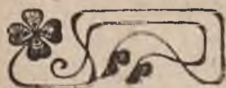
W innych częściach ogrodów pałacowych znajdują się dzikie zwierzęta w klatkach, ryczące wściekle, a tłum brunatnych chłopców drażni się z nimi i śmieje. Ma z tego powodu i maharadża pewnego rodzaju rozrywkę.

Jedną z ciekawości każdej stolicy udzielnego państewka w Indjach są całkiem dzikie, co roku świeżo łapane tygrysy, wystawione na widok publiczny i narażone na zaczepki tłumu, który naigrawa się z ich wściekłości. Każdy maharadża Hindostanu musi mieć swoje tygrysy w klatkach, tak jak u nas niejedna starsza panna miewa w klatce kanarka lub papugę.

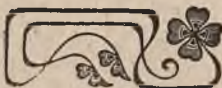
Dowodem bogactwa maharadży są także konie, których niejeden z nich posiada w swych stajniach nawet po kilka set sztuk. Konie te służą do wyjazdu lub pod siodło. Stoją w stajniach wystrojone, jak w cyrku jakim, albo na specjalnej wystawie.

Do jazdy wierzchem używają także słoni. Jazdę taką widzimy na naszym obrazku. O ile ona odbywa się po równinach, to jeszcze pół biedy, ale gdy na słoniu trzeba się udać w góry, wtedy można się wyrzec na zawsze takiej jazdy. Słoń, będąc wielkiem zwierzęciem, robi duże kroki, a wskutek tego kołysze się na wszystkie strony. Jeździec, nieprzyzwyczajony do tego, musi się trzymać konwulsyjnie jego skóry, ażeby nie spaść na ziemię. Po niedługim nawet czasie, gdy zejdzie na ziemię ze swego wierzchowca, cały jest spocony i połamany. Oczywiście unika na drugi raz takiej jazdy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Zuch.



Michaś podniósł się z ławy, bo gospodarz od długiej już chwili kiwali się przy nalepie, a gospodyni raz w raz spoglądała w stronę wysoko zasłanego łóżka; jedna jeno Marysia śmiała się całą swą krasną buzią. Gdzie jej tam było do snu!

— Ostajcie zdrowi! — Rzekł od progu i schyliwszy się we dwoje, bo za niskie były dla niego drzwi chaty, wyszedł na sień.

Podążyła za nim Marysia. W sieni ogarnął ich mroźny wiew wraz z blaskami księżyca.

— Cudna nocka... — westchnęła Marysia, kręcąc w ręce koniec płowego warkocza.

— W sam raz taka jako i ty Maryś...

— Inom, nie taka zimna! — Rozśmiała się wabliwie.

— Maryś... — ujął ją za rękę.

Zatrzepotały się serca w obojgu; kochali się oddawna, tylko jedno drugiemu nie powiedziało jeszcze o tem. Pochyliła głowę.

— Maryś... — przyciągnął ją do siebie, nieśmiało pocałował w głowę; naraz oplótł silnemi ramionami, gorącemi wargami poszukał ust, zdusił w uścisku. Uczyniło mu się w duszy tak błogo i cudnie, że w uścisku tym trwałby do śmierci.

— Michałku, a puść przecie... — posłyszał szept dziewczyny.

Nie słuchał.

— Tatulo idą... — skłamała. Puścił ją, uciekła do izby.

Szedł przez uśpioną wioskę, rad w duchu ogromnie i wesół.

Pod jego żwawym krokiem skrzypiał śnieg głośno; mróz brał siarczysty. Cudną była noc; rozległą wokół, białą ciszę pól, mlecznem swem światłem zlewał księżyc chojnie. Świat przybrał na się szatę białego srebra.

Wkrótce pozostała za nim wioska. Szedł szybko do następnej, gdzie miał swoją chałupę, na szerokiej przestrzeni sam jeden, a wraz z nim głośny skrzyp mroźnego śniegu i gwizdana piosenka.

Ot, przejdzie widniejący już z za zakrętu mostek, a potem do domu już blisko.

— Choroba, nie mróz .Szczypie w uszy aż boli! — Rzekł sobie.

Naraz z gęstych krzaków czerniejących przy mostku zaświeciły ku niemu dwa zielone ogniki. Nim zdążył coś pomyśleć, duży, kosmaty wilk wysunął się ku niemu. Michaś przystanął; był bezbronny, nawet kija nie posiadał. Odważnym bywał, ale w tej chwili targnęło nim uczucie strachu. Sam, nocą, nigdzie nikogo...

Pomyślał i w momencie siedział na przydrożnym drzewie. Wilk przysunął się leniwie i ułożył pod drzewem. Upłynęła chwila. Michasia począł przejmować ziąb. Trzepnął raz i drugi w ręce, poczem splunął wprost na zielone, wzniesione ku niemu ślepia.

— Cholera zatracona! Pójdziesz won!

Wilk ani myślał się ruszać. Zawył raz i drugi cicho, potem trzeci i czwarty głośniej. Ponury głos rozległ się po okolicy.

— No, nasprowadza on mi tu kamratów! Na kość chyba zmarznę na tem drzewie.

Wspomniał Marysię. I naraz taki marny wydał mu się ten wilk na dole czatujący, tyle odwagi i niezważania na nic poczęło nim owładać, że nie zastanawiając się co robi, wprost z góry skoczył na wilka. Zwierz stęknął pod ciężarem ciała. W rozwartą jego paszczę Michaś pięść swą grubą wpakował do łokcia. Wilk przez chwilę wił się w konwulsjach, darł łapami ubranie chłopaka, aż wyprężył się, znieruchomiał.

— Że wielgachny, to wielgachny. — Mruczał Michaś, omywając w śniegu skrwawioną rękę. Przerzucił nieżywe zwierzę przez ramię, przyczem zauważył że futro ma piękne.

— O! W sam raz będzie dla Marysi pod kożuszek...

Szedł teraz bardzo szybko, bo przez porozdzierane portki dostawał się mróz do ciała, parząc je niemal.

Orlica.

Niema nic nad dobrą radę.

Że latek im przybywa wciąż.
— Nie płacz kochanie mówi jej,
Płakała żona, płakał mąż,
Już nie wypłaczesz młodości swej.

— Nie natrząsaj się, ty stary łyku,
Bo i ty latek masz już bez liku...
Powiem ci receptę w sekrecie,
Kto pozostaje młodym na świecie —

Ten — co się powiesi w młodości...
Nikt już mu nie wytyka starości.
— Dobra rada... Moja ty miła...
Dlaczego tyś się nie powiesiła?

Kazimierz Ziejka.

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

— A kto kazał przybijać listy gończe?

— Pułkownik policyjny Rogers z Nowego Yorku.

— A jest on może tu?

— Nie odjechał do Reymond, 20 mil angielskich stąd. Może pan udać się wozem, ale droga niedobra.

— Pojadę konno. Ale czy dostanę tu konia?

— Pokażę panu — gdzie.

Za pół godziny, jechał do Reymondu.

Ciemno było. Szkapina stąpała ostrożnie. Na nieszczęście zbił się Doublay z drogi. Musiał czekać do ranka, aby jeszcze dalej nie zbłądzić.

Nim dobił się do Reymondu, była 8 godzina

A wesele o dziesiątej!

Cała nadzieja Doublaya była w pułkowniku.

Popędził na plac targowy. Tutaj dopytał się o Rogersa. Dopadł wskazanego domu, pędził po schodach.

A tu w pokoju sędziego siedział Rogers i rozmawiał o Gouldzie.

31. To on.

— Mam zaszczyt mówić z panem pułkownikiem policji Rogersem? — zawołał Doublay ostatnim wysiłkiem tchu.

Rogers skłonił się lekko.

— W takim razie, proszę mi użyczyć parę chwil posłuchania. Chodzi o zbrodniarza, którego pan szukasz, wiesz, gdzie on przebywa.

— Wie pan? — zawołali obaj panowie.

— Tak. Może w tej chwili nową popełnia zbrodnię, okropną!

— W takim razie spieszmy zaraz, — zawołał Rogers. — Mój powóz gotów, nieprawdaż? — zapytał sędziego.

— Popatrzę sam.

— Na miłość boską, czy nie znasz pan sposobu, aby przeszkodzić zbrodniarzowi w jego straszliwym zamiarze zaraz? — wołał Doublay, jak szalony.

— Odpowiadaj pan na moje pytnia krótko, może znajdziemy sposób. Gdzie Norden?

— W Nowym Orleanie.

— Jak dawno?

— Blisko trzy miesiące.

— Zgadza się. Nie mylisz się pan co do podobieństwa?

— Nie, to wykluczone, taką twarz widzi się raz w życiu.

— Gdzieś go pan widział jeszcze?

— W Nowym Jorku, jako Johna Goulda.

— To on! Cóż on teraz przedsiębierze?

— Chce się ożenić.

— No, tak. I to pewnie bogato. Kiedy?

Kreolczyk wyciągnął zegarek.

— Za półtorej godziny, — bełkotał rozpaczliwie.

Pułkownik popatrzył nań zimno i spokojnie.

— Dlaczego pan tam nie zatelegrafowałeś?

— Ach zapomniałem o tem, — zawołał Doublay.

— No, chodźmy rychło, jeszcze czas.

Pociągnął zrozpaczonego za sobą.

Udali się na pocztę.

— Szczęście jeszcze, że mamy stąd połączenie telegraficzne do najbliższej stacji. A teraz — proszę o dotyczący adres. Ale — zwracam pańską uwagę, że pan bierzesz na siebie odpowiedzialność, jeśli zajdzie pomyłka.

— Ach nie! — zaprzeczył gorąco Doublay.

— Aha, czy ten Norden był raniony w lewe ramię?

— Tak.

— Bo, gdy przybył do Nowego Orleanu, nosił lewe ramię przewiązane i skarżył się na ból. Miał otrzymać ranę w przestrzałce.

— To on! — rzekł Rogers. — A teraz nie traćmy czasu.

Wziął formularz.

— Jaki adres?

— Saint — Artay — New — Orleans — Butler avenne.

Pułkownik Rogers wysłał telegram z zawiadomieniem, żeby wesele odłożyć, ponieważ kapitan Warren jest 2 razy żonaty, ścigany jest listem gończym i t. d. poczem umieścił swój podpis z oznajmieniem, że sam wkrótce przybędzie.

Następnie pojechali do najbliższej stacji kolejowej, aby udać się do Nowego — Orleanu.

Lecz nim zdążyli przybyć na dworzec, pociąg już odszedł.

Doublay popadł w ogromną rozpacz. Obawiał się bowiem, że depesza może spóźnić, lub dostać się w niepowołane ręce...

Rogers uspakajał go jak mógł, lecz wszystko nadaremnie.

Kreolczyk rzucał się jak obłąkany.

— Niema innego sposobu, dostać się tam prędzej? — wołał. — Niech kosztuje, co chce!

Pułkownik rzekł spokojnie:

— Jeśli pan rzeczywiście chcesz ofiarować większą sumę, to można!

— Ale proszę rozporządzać moim pieniądzem, według upodobania! Jestem bogaty! Proszę mię tylko dowieść do Nowego Orleanu, bo umrę z niecierpliwości.

Rogers, pomówił z naczelnikiem stacji, ten zawołał kierownika lokomotywy.

— Obaj ci panowie życzą sobie pojechać do Nowego Orleanu. Weź pan maszynę „Pacific" to najszybsza. Zaprowadź pan ją na drugi tor.

— Ale niema wozu, — zauważył tenże.

— Panowie jadą na maszynie. Prędko bądź pan gotów!

Doublay zapłacił koszta tej ekstra-podróży i zaraz byli na parowym rumaku.

Poczęła się jazda.

— Nie możesz pan rychlej jechać? — zwrócił się Doublay do maszynisty.

— Czekaj pan trochę, dopiero bierzemy rozpęd.

— Kiedy myślisz pan być w Nowym Orleanie?

— Jak dobrze pójdzie — o trzeciej.

— Pięćset dolarów dla pana i dwieście dla palacza, jeśli przybędziemy godzinę prędzej! — zawołał Doublay, wyciągając z kieszeni banknoty.

— Zobaczymy, co się da zrobić, — odrzekł maszynista.

Całą siłą pary pędził żelazny potwór.

Jak cienie mijały domy, płoty, sioła. Coraz szybciej i szybciej.

Pułkownik i Doublay musieli się mocno trzymać, by nie upaść.

Kierownik lokomotywy stał jak ulany z bronzu, patrząc od czasu do czasu na stan wody i parcie pary.

Jak ze świata bajek, pędziła lokomotywa. Pociąg do Nowego Orleanu, pozostał za nimi.

Pędziła niby z wiatrem w zawody.

Pięć minut przed drugą, szybkość zaczęła ustawać, maszyna ruszała wolniej.

— Co to znaczy? — krzyknął Doublay.

— Zarobiliśmy nasze pieniądze, — jesteśmy u celu! — Nowy Orlean! — ozwał się maszynista.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Opowiadanie z czasów Napoleona.

— Hej gdzie my to nie byli — gdzie, pod Marengo, Austerlitz, Somosierra, we Włoszech, Alpach, Hiszpanji, w Francji, w całym, w całym, calusieńkim świecie pod rozkazami Napoleona.

Zawsze tak mawiał pan chorąży, a najlepiej wówczas, kiedy gardło płukał „szampanem krajowego wyrobu".

Znano go w kółku podoficerów, jako niezrównanego bajarza, który doskonale zmyślał to, czego nie dokonał, a dokazywał tego, czego każdy nie potrafi, gdyż mógł wypić dziennie całą baryłkę piwa.

— Otóż kochani moi! jedziemy sobie do Hiszpanji na Madryt, że to Francuziska nie mogli zdobyć wąwozu Somosierry! Pchają nas Polaków. My chłopy, co się zowie, z pod Warszawy, Łodzi, Krakowa, poprawiliśmy czapki i jazda. Jezusie! Marjo! Co się nie robi, powiadam wam. Jakby całe niebo piorunami się pokryło, jakby ziemia zadrżała od wybuchu wulkanów. Konie stają nam dęba i kwiczą — bestje nie chcą iść. Ja miałem pod sobą kilkunastu chłopa. Mówię: chłopcy, a dalej poganom zatraconym odebrać wszystko i sprać! Dalej chłopcy! Przykrócił każdy cugle, szablisko zacisnął i hej! Jezusie Nazareński — mówię wam, kiedy konie nie ruszą, kiedy się ziemia nie zatrzęsie, kiedy harmaty nie zagrają — mówię wam koniec świata. Pędzimy tedy, a tu Napoleon na koniu jak burza leci i krzyczy:

— Polacy kochani, a dzielnie a zbudujemy Polskę — powiada, a łzy błyszczały mu od rozczulenia.

— Dopadliśmy pierwszego zakrętu. Aż tu lufy harmaty, jak potwory, sterczą i zieją ogniem siarczyście. — A tu my jak nie wskoczymy, przez kule, ogień, harmaty. Jezusieńku, wrzask, dym, huk, kanonada jak w piekle... i mamy harmat aż sześć zdobytych. Aż tu naraz, powiadam wam, pęka granat, kamienie się walą zgóry na nas. Mówię wam, sześciu chłopa przywaliło. Mnie padł koń. Szkoda było siwka, szkoda, bo to z domu miałem swojskiego chowu, a znał mię tak... a lubił... jej! I co się nie robi, koń mi pada, a tu za mną jadą nasi chłopy, jak huragan piekielny z podniesionemi szabliskami. Jakby rycerze świętego Jerzego, jak smoki — prawdziwe Polaki. Roztratują mię — myślę i ująwszy silnie szablisko, dęba robię ku skałom, bo cóż, gdy konia nie mam? Wdrapuję się szybko, mówię wam po takiej skale, jakby królewicz gdzie na szklanną górę. A tam w dole nasi biją Hiszpanów, a kule gwiżdżą, a kanonada, huk, łoskot, jakby z tysiąc piorunów waliło. Ja uciekam ku skale ogromnej, gdziem zoczył ogromną pieczarę. Aż tu nagle krzyczą coś Hiszpanie z za drugiej skały, a było ich ośmiu poubieranych dziwacznie, że mi jeden nawet górala naszego przypominał. I jak nie skoczą za mną, bo myśleli, że śledzę ich pozycje. Ja

zacisnąłem szablisko i wdrapałem się do pieczary. A oni z szablami, karabinami ku mnie. Pierwszy, mamrocząc coś, począł kłuć mię bagnetem. A mnie jak złość nie porwie, jak krzyknę: Niech żyje Polska i Napolion jak machnę, fajt trup z niego i bigos. Tak pokonałem sześciu a dwóch zostało z karabinami. Wymierzyli do mnie. Jezusie, mówię wam, zamknąłem oczy i przeżegnałem się i polecam się Najświętszej Panience na śmierć — kiedy nagle gdzieś ze ska-



ły, powiadam wam, wynurza się ogromna niewiasta, jakby duch czy coś, a koło niej jakieś zwierzęta kieby wilki — czy coś. Włosy mi stanęły na głowie — mówię wam, a ona tymczasem podniesła jakiegoś zwierza i rzuciła na Hiszpana, który już prawie strzelił, ale karabin mu upadł od uderzenia cielska zwierza... Powiadam wam Hiszpanie w nogi, a tu niewiasta stoji z podniesionemi rękami i mówi:

— Nie mogą zabijać Polaków, tych sierót tułających się po obczyźnie, nie mogą i mówię wam sumiennie znikła gdzieś za skałą...

Wincenty Kuglin.

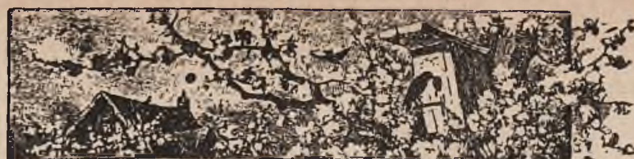
Myśli.

Często pochwała choć się słuszną zowie,
Szkodzi jednak czasem, tak mówi przysłowie.

Wśród łez i niedoli czas stąpa powoli,
Ale w szczęściu leci, jak orzeł do dzieci.

Życie człeka to jak koło, które wciąż się toczy,
Gdy przybiegnie już do mety, śmierć zagląda w oczy.

Antoni Frączek.



Prawo własności.

(Bajka).

Piękny krzak leszczyny stał na skraju lasu. — Miał na sobie prawie już zupełnie dojrzałe orzechy, gdy oto pewnego jasnego dnia sierpniowego wtargnęła nań wiewiórka.

— To mój krzak leszczyny! — zawyrokowała, poczem przeskoczyła na inną gałąź, aby wypróbować ząbki na wielce ponętnych orzeszkach.

— Hej! ty złodziejko! precz stąd — rozległ się naraz piskliwy głosik skądś, jakby z pod samego krzaka.

— A to kto znowu? — spytała wiewiórka i poczęła rozglądać się dookoła.

Wreszcie u samych korzeni krzaka dojrzała... mysz.

— Nie masz się tu co rozsiadać! Wynoś się stąd tam, skądeś przyszła i ani się waż tknąć moich orzechów! — piszczała mysz.

— Moje orzechy! Ha, ha, ha! — przedrzeźniała ją wiewiórka, poczem już bez dalszej dysputy zabrała się do ponętnego przysmaku.

— Ani się waż, skoro ci mówię, ty wiewiórczy rabusiu!

— Dobrze! Ale pozwoli pani zapytać, na jakiej zasadzie prawnej uważa pani te orzechy za swoje?

— Na zasadzie jus primi venientis, albo jeśli się to pani bardziej podoba, na zasadzie prawa pierwszeństwa.

— Dobrze! Niech i tak będzie, łaskawa pani, ale ja przywłaszczam sobie ten krzak leszczyny na zasadzie jus primi occupantis, tj. na zasadzie prawa podboju. Siła mocniejsza jest od wszelkiego prawa. Jestem mocniejsza od pani, tedy przywilej leży po mojej stronie. Zrozumiano?

— O co się tu kłócić? — zatrzeszczała naraz sojka, która nadleciała na wszczęty hałas. — Hej! ty rabusiu, zostaw w spokoju moje orzechy, jeśli nie chcesz czego oberwać!

— Przepraszam panią — odparła wiewiórka, ale ja pierwsza znalazłam ten krzak.

— Żeś ty pierwsza znalazła mój krzak, to nic dziwnego. Ale jakiem prawem poważyłaś się zagarnąć go dla siebie?

— Zagarnęłam go wedle prawa, które mi przysługuje.

— Nie, ty panujesz nad nim poprostu bez żadnego prawa. A teraz ja przyleciałam i odbiorę ci go dla siebie!

Ale w tejże chwili, gdy sojka zamierzała już rzucić się na wiewiórkę, na obie strony sporne spadł grad kamieni, wskutek czego pozostało im tylko ratować swą skórę, co też uczyniły.

— Patrzcieno, jakie łakome! — wołali chłopcy, którzy wtargnęli tu po orzechy. No teraz, to my im nic nie pozostawimy.

I chłopcy zabrali się corychlej do rwania orzechów.

— Na tym krzaku jak się zdaje dość wesoło spędzają czas nasze bąki — mruczał sobie pod nosem pan dzierżawca, ukazując się znienacka koło fatalnej leszczyny.

— Jak się macie panowie złodzieje? — huknął naraz. Pozwólcie mi kochani natrzyć wam uszu, iżbyście nie błądzili w swych zapatrywaniach na własność prywatną.

— A oto wspaniały krzak! jest to akurat to, co jest nam potrzebne dla umocnień faszynowych! — zahuczał z drugiej strony potężny bas kaprala, który przybył do lasu z patrolem.

Żołnierze chwycili topory i zabrali się do ścinania krzaka.

— Stójcie! — darł się dzierżawca.

— Kto pan jest? Właściciel? — pytał spokojnie kapral. — Jeśli nie jest pan właścicielem, to proszę się do nas nie mieszać!

— Ale ja jestem dzierżawcą...

— No więc co, że jest pan dzierżawcą? Pan przecie nie ma prawa ścięcia tego krzaka, gdy ja mam! Proszę mi nie przeszkadzać!

— A zatem wypada, że prawa ochraniające nietykalność własności przywatnej, zostały skasowane — spytał dzierżawca.

— Tak kochany panie, w danym wypadku tak! Wobec siły oręża milknie prawo. Może pan będzie łaskaw zaprowadzić mnie do właściciela: muszę mu okazać reskrypt o dokonaniu rekwizycji. Mam go tu właśnie przy sobie.

Poszli.

Nie zniknęli jeszcze z widowni dzierżawca i kapral, gdy oto ukazał się koło krzaka geometra z robotnikami. Geometra bez pytania ustawia instrument, robi wyliczenia, wymierza miejscowość, przenosi ją na plan, a wreszcie wydaje dyspozycje swym robotnikom:

— Zetniecie mi ten krzak leszczyny!

Zrobiono wedle rozkazu.

— Na zasadzie jakiego prawa ośmiela się pan dokonywać w mym lasku samowolnego cięcia? — pyta właściciel, który przybył nareszcie na miejsce wypadku.

— Na zasadzie prawa o wywłaszczeniu gruntów, będących w posiadaniu prywatnem, dla potrzeb państwa.

— W takim razie proszę bardzo!

I pan właściciel oddala się zupełnie zadowolony z wyjaśnień geometry.

— To się nazywa legalne naruszenie prawa własności prywatnej — z godnością oświadcza kapral.

Z pozostawieniem przywileju temu, kto przybywa przedostatni — mruczy pod nosem dzierżawca — właściwie ostatni.

— A zatem narazie zajmujmy się czemprędzej wywłaszczeniem orzechów! — śmieją się do siebie dzieci.

— I ja też zaraz zajmę się rekwizycją — mówi wiewiórka.

— No no, niechże mnie teraz kto przekona, że u nas panują jakiekolwiek prawa, chroniące nietykalność własności prywatnej — piszczy mysz.

Antoni Zerwikaptur.





Poradnik gospodarczy.

Życie chrabąszczy.

Co roku w maju zjawia się na naszych drzewach liściastych setki i tysiące ogromnych szkodników, jakimi są chrabąszcze majowe. Może niejeden nie wie, że nie wylęgają się one na drzewach, ale wyłażą z ziemi, już zupełnie wyrośnięte. Trzeba bowiem wiedzieć, że aż cztery lata musi upłynąć, nim powstanie taki chrabąszcz, jakiego my w maju widzimy. Samice chrabąszczy składają bowiem przed swą śmiercią jajeczka w ziemi, z których wylęgają się gąsieniczki. Te żerują pod ziemią, ogryzając korzenie roślin, czem wyrządzają w rolnictwie nieobliczalne wprost szkody. Dorósłszy, zamieniają się w poczwarki i w nich przemieniają się na chrabąszcze, poczem wydostają się na powierzchnię ziemi, aby objadać liście drzew i tem wyrządzać dalszą szkodę ludności.

Kto wie, jaką szkodę wyrządzają chrabąszcze, temu nie potrzeba tłomaczyć potrzeby tępienia ich tembardziej, że tępiąc chrabąszcze, możemy mieć z tego pewne korzyści.

W pierwszej linji stanowią te owady doskonałą żywność dla kur ,kaczek, indyków, pantarek, a nawet gąsięta nie gardzą niemi.

Kurom i kaczkom rzuca się chrabąszcze żywe i w małych porcjach. Gdy ptactwo jest wypuszczone rano z kurnika z próżnym żołądkiem, zjada porcje samych chrabąszczy bez wszelkiej pomocy. Gdzie więcej znajduje się chrabąszczy, tam trzeba je zabijać jak najprędzej. Dzieje się to najlepiej w ten sposób, że chrabąszcze sypane w wąską beczkę polewa się ukropem, w którym jest rozpuszczona garść soli. Chrabąszcz żyć przestaje natychmiast i jeżeli nie mogą być w następnych dniach użyte, trzeba je rozłożyć dla wysuszenia na przewiewnych plecionkach z wiciny, albo jeszcze lepiej z drutu, ustawionych na miejscu słonecznem o pół metra ponad ziemią. Mokre chrabąszcze muszą być rozłożone w cienkich warstwach; na drugi dzień należy warstwy przewrócić, na trzeci dzień powtórzyć tosamo i tak długo przewracać, aż chrabąszcze uschną na proch i je palcami rozetrzeć można. Zależnie od powietrza suszenie to trwa dłużej lub krócej, lepiej jednak suszyć je dzień dłużej, aby wyschły należycie.

Dobrze ususzone chrabąszcze, które tylko w suchem miejscu przechowywane być muszą, trzymają się kilka lat nawet i zimą, rozgniecione i zwilżone, są doskonałą żywnością dla drobiu. Można je też naturalnie dawać mokre i świeże kaczkom, kurom itd., lecz porcje nie powinny być zbyt obfite, ponieważ wywołałoby to łatwo rozwolnienie.

Chrabąszcze są też dobrym pokarmem dla świń, lecz od małych trzeba zacząć porcyj. Suszone także należy rozgnieść i zwilżyć.

Szrut z chrabąszczy miesza się z zwyczajną paszą w małych porcjach. Jest to nadzwyczaj pożywny dodatek, równający się zupełnie rybiej mące.

Jak więc widzimy, tępienie chrabąszczy nietylko zapobiega szkodom, jakie one wyrządzają, ale przynieść nam może korzyści, gdy tylko postąpimy według powyżej podanych wskazówek. A tymczasem u nas nikt prawie o tępieniu tych szkodników nie myśli. Nawet pod innym względem rozsądni ludzie powiadają, że szkoda na to czasu, a wobec tego chrabąszcze żerują po drzewach, żyją sobie swobodnie, a później naznoszą jajek, z których wylęga się w ziemi moc pędraków, aby niszczyć następnie nasze zboża i trawy, podgryzając ich korzenie. I ci sami ludzie dziwią się potem, dlaczego nawet dobra ziemia wydaje tak liche zbiory! Nie chcą wiedzieć, że oni sami zgadzają się dobrowolnie na niszczycielską pracę owych szkodników. Niejednokrotnie w niektórych wsiach wszystkie drzewa stoją obnażone z liści, a niema nikogo, ktoby im zechciał przyjść z pomocą.

Spustoszenia takie czynią nietylko same chrabąszcze, ale pomagają im setki tysięcy i miljony najróżnorodniejszych gąsienic, a my przypatrujemy się temu i nie zapobiegamy, aby nie dopuścić do owego zniszczenia.

Poradnik kucharski.

Zrazy z grzybami. Osolone, opieprzone i osypane mąką zrazy, dać na rozpuszczone masło. Gdy się trochę poddduszą, podlać smakiem z grzybów osobno ugotowanych, grzyby zaś poszatkować i dać do zrazów, gdy się tak jeszcze podduszą, zalać kwaśną śmietaną i po zagotowaniu wydać na stół.

Zrazy angielskie z cebulowym sosem. Zbić obuszkiem kawałek wołowego miękisza i włożyć do niewielkiego garnka, lub rondla, dodać różnej włoszczyzny, osolić, zalać wodą, aby je objęła, przykryć i gotować, uważając, aby nie przegotować. Sos do tej sztuki mięsa robi się następującym sposobem: Bierze się litr śmietany, sporą łyżkę masła, pół litra, lub więcej cebuli wzdłuż krajanej jak makaron; gotować to wszystko na małym ogniu w nienakrytym rondelku, uważając, aby nie przydymić, póki znaczna część tego sosu się nie wysadzi. Fajansowy lub srebrny półmisek otoczyć brzegiem z ciasta, pokrajać gotowe mięso w szerokie pasy, podlać sosem, układać rzędami, podlewając ciągle i posypując odrobiną utłuczonego zwyczajnego oraz angielskiego pieprzu, zmieszanego z imbirem. Skoro się półmisek nałoży, zalać sosem i wstawić do gorącego pieca.

Befsztyk zwyczajny. Dobroć befsztyku zależy na smażeniu. Robić go można z polędwicy i krzyżówki krajanej w poprzeczne dość grube kawałki. Rzucając na rozpalone masło przypiec z jednej strony, obrócić, posolić i przypiec z drugiej strony nie dłużej jak 10 minut. Dać na grzany półmisek, dać po kawałku surowego masła na każdy befsztyk, nakryć gorącą pokrywą, by sos puściły i masło się rozpuściło. Podając, można obłożyć struganym chrzanem, smażonemi ziemniakami i t. d.

KRONIKA.

Za chlebem do Francji. Państwowe urzędy pośrednictwa pracy otrzymały z Francji zapotrzebowanie na 5.104 robotników, którzy udać się mają na pracę do Francji w ciągu maja. Z tego przypada: górników do kopalń węgla 1.148, do kopalń rudy żelaznej 640, do przemysłu 1226, do rolnictwa 1.140, kobiet 610.

Żonobójstwo w Świątnikach. W ubiegłym tygodniu dokonał morderstwa w Świątnikach Górnych (pow. Kraków) na osobie swej żony 50-letniej Marji Jan Kotarba, lat 45, ślusarz, który dał do ofiary strzał rewolwdrowy w prawą stronę piersi. Kula wyszła poniżej lewej łopatki, wskutek czego Kotarbowa po upływie godziny zmarła. Sprawca po tym czynie zbiegł, jednak został przez policję aresztowany i odstawiony do więzień sądowych. Powodem zabójstwa były niesnaski rodzinne.

Ponura tragedja rodzinna. Ze Lwowa donoszą: dzielnica Zamarstynowska we Lwowie stała się widownią ponurej tragedji rodzinnej. Oto w domu przy ulicy Grunwaldzkiej 27, mieszkała para staruszków, 70 letni Antoni Hawrot z 62 letnią żoną. Przed sześciu mniej więcej laty wzięli Hawrotowie na wychowanie półtoraroczną dziewczynkę, córkę pewnej młodej żydówki, poczem po niejakim czasie adoptowali ją z zamiarem pozostawienia jej całego majątku. W ubiegły poniedziałek pod nieobecność męża Hawrotowa zamordowała przy pomocy noża kuchennego dziewczynkę, podrzynając jej gardło, poczem tymże samym nożem usiłowała pozbawić się życia. Oczom Hawrota po przybyciu do domu przedstawił się wstrząsający widok. Na łóżku leżała zamordowana dziewczynka, pławiąc się we krwi, żona zaś leżała na fotelu z poderżniętem gardłem. Hawrotową odwieziono w groźnym stanie do szpitala. Policja wdrożyła w tej sprawie energiczne dochodzenia.

Bomby w Kałuszu. Niewyśledzeni narazie sprawcy rzucili onegdaj w nocy bomby pod okna mieszkań dwu urzędników kopalni „Tesp" w Kałuszu. Na szczęście ofiar w ludziach nie było. Okazało się, że materjał, z którego bomby były wykonane, pochodzi z kopalni wspomnianej firmy i najprawdopodobniej wskutek braku dozoru dostał się w niepowołane ręce. Policja wszczęła energiczne dochodzenia.

Nieudały podstęp przemytników. Na odcinku granicznym w powiecie rybnickim, koło Górnej Wilczy na Górnym Śląsku, zaobserwowała straż graniczna ze zdziwieniem nagłe pojawienie się na przedpolu dość gęstego łańcucha krzaków i krzewów, który po kilku godzinach zaczął się równomiernie poruszać, posuwając się w kierunku granicy polskiej. Uderzeni tem niezwykłem zjawiskiem strażnicy otworzyli ogień karabinowy do spacerujących krzaków, które wśród panicznych okrzyków ludzkich zaczęły się wycofywać, uciekając do granicy niemieckiej. Jak się okazało, banda przemytników w taki sposób chciała sobie ułatwić przekroczenie kordonu granicznego pod sztuczną osłoną krzewów i krzaków.

Napad na klasztor. Z Łodzi donoszą: Zuchwałego napadu usiłowano dokonać na klasztor OO. Bonifratrów w Choinach pod Łodzią. Późnym wieczorem do furty klasztornej zapukało dwóch młodych ludzi, prosząc, aby pozwolono im skorzystać z telefonu. Otworzył im sam przeor. Przybysze rzucili się na zakonnika i schwyciwszy go za gardło, zaczęli dusić. Przeor zdołał jednak uwolnić się z rąk bandytów i wszczął alarm. Napastnicy rzucili się do ucieczki. Mimo obławy, zarządzonej natychmiast przez policję, drabów nie ujęto.

Tragiczna śmierć starosty. Z Torunia donoszą: W ubiegłym tygodniu zmarł tu nagle starosta krajowy

Dr Józef Wybicki. Śmierć zaskoczyła Dra Wybickiego w chwili, gdy żegnał się z wojewodą Lamotem, któremu wręczył rezolucję, uchwaloną na wiecu zorganizowanym przez Związek obrony kresów zachodnich. W chwili, gdy Dr Wybicki podawał rękę wojewodzie, dostał nagle ataku serca i osunął się na ziemię. Mimo natychmiastowej pomocy lekarskiej, Dr Wybicki w kilka minut później zakończył życie. Zwłoki zmarłego spoczną obok dziada ś. p. Józefa Wybickiego, autora hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Pierwsze ofiary pioruna. W ubiegłym tygodniu około godziny 11 nad Sokołowem Podlaskim i okolicą przeciągnęła pierwsza w tym roku nawałnica o charakterze letnich burz. Kiedy już ulewa ustała, jeden z ostatnich piorunów uderzył w zabudowania gospodarskie Bartłomieja Mosieja we wsi Lebiedzie, wywołując pożar. Walka ze strasznym żywiołem, podsycanym przez wiatr, była próżna. W krótkim czasie ogień ogarnął 80 obejść włościańskich i strawił je zupełnie.

Bestjalstwo Niemców. Jak wiadomo, Górny Śląsk został podzielony pomiędzy Polskę i Niemcy tak, że część Polaków została pod panowaniem niemieckiem, zaś część Niemców pod panowaniem polskiem. Dla tych mniejszości narodowych postanowiono dawać od czasu do czasu przedstawienia teatralne, a więc dla Niemców w Katowicach na Śląsku polskim, zaś dla Polaków w Opolu na Śląsku niemieckim. W Katowicach odbywały się niemieckie przedstawienia bez żadnej przeszkody z naszej strony, ale gdy w ubiegłą niedzielę chcieli dać Polacy w Opolu przedstawienie „Halki“, Niemcy postanowili temu przeszkodzić. Już przed przedstawieniem rozrzucono podburzające ulotki. W czasie przedstawienia kilku wyrostków niemieckich usiłowało wywołać zamieszanie w teatrze przez rozrzucanie cuchnących bomb. Dzięki jednak energicznej postawie policji udało się w czasie przedstawienia zachować porządek na sali. Przed teatrem zgromadziły się olbrzymie tłumy Niemców, którzy przybrali groźną postawę wobec wychodzącej publiczności. Rozwydrzone tłumy śpiewały „Deutschland, Deutschland“. Przed samym teatrem jednak nie doszło do żadnych wykroczeń, co zawdzięczać należy tylko okoliczności, że policja utworzyła szpaler. Na terytorjach miasta doszło do zaburzeń. Również w okolicy dworca pobici zostali pałkami artyści polscy. Przed dworcem znajdowały się tłumy Niemców, którzy doszczętnie wypełnili przejście prowadzące na peron. Przechodzących aktorów zaczęto lżyć i pluć na nich, bić pięściami i laskami oraz kopać. Dopiero kolejarze rzucili się na pomoc i zasłonili Polaków. Na peronie okazało się, że cały zespół był pobity więcej lub mniej ciężko. Bito bez miłosierdzia także i kobiety. Potłuczono instrumenta muzyczne. Nikt z aktorów i aktorek nie wyszedł bez szwanku. Oto bestjalska kultura Niemców!

Krwawe święto socjalistyczne. Jak wiadomo, socjaliści obchodzą co roku w dniu 1 maja swoje święto partyjne. Dlaczego to czynią 1 maja, a nie 7 czerwca, lub 11 lipca, albo też w ktorymkolwiek innym dniu, zapewne sami dobrze nie wiedzą. Dość, że obchodzą. Niechby sobie tam i obchodzili, byle nie zmuszali innych do świętowania, bo kiedy wolno im świętować, powinno być wolno każdemu innemu pracować. Tymczasem tak nie jest i właśnie z tego powodu przychodzi często w dniu 1 maja do rozlewu krwi. Na szczęście tegoroczny 1 maja w Polsce minął spokojnie. Kto chciał, ten świętował, kto chciał pracować, pracował. Natomiast w Berlinie przyszło do krwawych starć, które tym razem spowodowali komuniści, także w dniu 1 mają świętujący. Ofiarą tych starć padło 9 osób zabitych i przeszło 100 osób cięższ lub lżej rannych. Policja chcąc uśmierzyć niepokoje, musiała użyć broni, a nawet samochodów pancernych, gdyż komuniści pobudowali na ulicach barykady. Jest też kilkunastu policjantów rannych.

Tragiczny koniec starego zwyczaju. W całym szeregu gmin wiejskich na Słowacji zachował się jeszcze stary zwyczaj, że gdy dziewczę z jednej wsi wyjdzie zamąż za chłopca z innej wsi, płaci nowożeniec pewnego rodzaju wykupno parobkom tej wsi, z której bierze sobie dziewczynę. Ten zwyczaj stał się ostatnio przyczyną potężnej bójki, której ofiarą padło 40 ciężko ranionych ludzi. We wsi Oczkowie obok Piszczan żenił się syn rolnika z pobliskiego Sripkowa, niejaki Stefanik. Po ślubie udali się goście do karczmy, gdzie tańczono i pito. Gdy zjawili się tam nowożeńcy, zażądali miejscowi parobcy od Stefanika wykupnego za żonę. Ofiarowaną im sumę 300 koron czeskich uważali za niewystarczającą i zażądali jeszcze 200 kor. Gdy Stefanik nie chciał więcej dać — może żona nie była tyle warta — przysięgli mu pomstę. Po kolacji odjechali goście do domu wozami, gdy przejeżdżali obok lasu, wyskoczyli zeń urażeni parobcy i znowu zażądali dopłaty. Po długich targach chciał już Stefanik wypłacić jeszcze 300 koron, ale żona zakazała mu tego. Podrażnieni parobcy chcieli unieść młodą żonę, wskutek czego wywiązała się krwawa walka na noże, w której wzięło udział około 70 osób. Gdy przeszło 40 leżało w kałuży krwi, zapalono fajkę pokoju i zdrowi względnie lekko ranni udzielili pomocy ciężko rannym, wsadzili ich na wozy i zawieźli do najbliższego lekarza, który ich opatrzył i częściowo odesłał do szpitala. Kilkunastu uczestników walki policja aresztowała.

Zastrzelenie profesora i studenta. Z Gracu donoszą: W ubiegłą niedzielę rano zdarzył się na granicy jugosłowiańskiej, niedaleko miejscowości Leutschach, wstrząsający wypadek graniczny. Mianowicie jugosłowiańska patrol żandarmerji zastrzeliła dwu obywateli jugosłowiańskich profesora i studenta, gdy chcieli uciec do Austrji. Austrjacka patrol żandarmerji dowiedziała się w tej sprawie szczegółów następujących: W pewnej kawiarni w Zagrzebiu podsłuchano rozmowę kilku gości, z której wynikło, że pragną oni rozpowszechniać bibułę przewrotową. Władze policyjne aresztowały wskutek tego dwie osoby, profesora i studenta, których pod eskortą sprowadzono nad granicę austrjacką, obok miejscowości Leutschach, celem wyszukania miejsca, w którem bibułę tę ukryło. Podczas tych poszukiwań obaj obywatele jugosłowiańscy usiłowali uciec do Austrji, jednak w chwili przekraczania granicy jugosłowiańsko-austrjackiej zastrzeleni zostali przez żandarmów jugosłowiańskich. Nogi obu zabitych spoczywały na terytorjum austrjackiem, zaś reszta tułowia na terytorjum jugosłowiańskiem.

Orkan na jeziorze zurychskiem. Na jeziorze zurychskiem, szalejący tam orkan spowodował zatonięcie dwóch statków transportowych. Zginęło dwóch marynarzy.

Obłąkany lekarz. Straszne rzeczy działy się od kilku lat w szpitalu wojskowym w Chalons we Francji. Naczelnym lekarzem tego szpitala był Dr Léon, który szczególne znajdował upodobanie w powolnem uśmiercaniu swych pacjentów. Jęki torturowanych sprawiały mu dziką rozkosz. Każdą operację starał się przedłużać. Nigdy też nie stosował środka usypiającego. Kiedy brakło pacjentów, lekarz sam wynajdywał choroby u swych podwładnych i gwałtem sprowadzał ich na stół operacyjny. Żaden asystent czy pielęgniarz nie mógł się ważyć przestąpić progu sali operacyjnej podczas operacji. Dr Léon operował zawsze sam, często narzędziami nie

dezynfekowanymi. Operacje przeto kończyły się po większej części śmiercią pacjentów. Cały szpital drżał przed tym tyranem. Chorzy zatajali swe dolegliwości i starali się jak na szybciej szpital opuścić, aby nie paść ofiarą zbrodniczego lekarza. W przeciągu kilku lat swego urzędowania Dr Léon zamordował w ten sposób setki ludzi. Dopiero cztery tygodnie temu nowo przydzielony asystent lekarski, porucznik Paweł Moinet, odważył się oskarżyć Dr Léon przed wyższemi władzami wojskowemi. Minister Painlevé upoważnił natychmiast generała Touberta, szefa szpitali wojskowych we Francji, do przeprowadzenia szczegółowego śledztwa. Obecnie skargi mnożą się i liczba świadków tych niewiarygodnych wprost okrucieństw wzrasta z dniem każdym. Społeczeństwo francuskie aferą tą poruszone zostało do głębi. Opinja publiczna domaga się kary nietylko dla Dr Léon, ale i dla tych, którzy tak długo tolerowali morderstwa lekarza. Dr Léon wyjdzie prawdopodobnie obronną ręką z sensacyjnego procesu, gdyż lekarze skonstatowali u niego obłęd Dr Léon przebywał już w dawniejszych czasach w sanatorjach dla umysłowo chorych, jako pacjent.

Dziewczyna o pięciu mózgach. W Paryżu badana jest obecnie przez cały szereg ludzi nauki sprowadzona specjalnie z Ameryki niejaka Thea Alba, 17 letnia dziewczyna pochodzenia cygańskiego. Od dzieciństwa przez długie i cierpliwe ćwiczenia zdołała ona wyrobić w sobie zupełną niezależność palców u rąk i nóg i posługiwać się z równą łatwością wszystkiemi swemi czterema kończynami, jak to czyni człowiek normalny z prawą swą ręką. Oprócz tego młoda ta dziewczyna włada 20 językami w mowie i w piśmie, a przytem wyrobienie jej mózgowe jest tak wielkie, iż potrafi ona z łatwością wykonywać naraz kilka rozmaitych czynności, związanych z różną pracą myślową. Jest ona naprzykład w stanie, wziąwszy po kilka ołówków do każdej ręki, napisać jednocześnie długie i skombinowane zdanie w rozmaitych językach. W Ameryce nazwano ją dziewczęciem o pięciu mózgach, a w Europie cały szereg uczonych i znakomitych profesorów, oraz innych sław, uważają, iż jest ona niezwykłym, dotychczas niespotykanym zjawiskiem.

Bunt na Kaukazie. „Dziennik narodowy", wychodzący w Piotrkowie, podaje następującą wiadomość: Wzmagający się nieustannie opór przeciwko nakazom sowietów przybrał na Kaukazie północnym rozmiary powstania. Powstańcy opanowali Stawropol i zdobyli w nim znaczne składy broni i amunicji. Oddział armji czerwonej w Stawropolu przeszedł na stronę powstańców. Drugiem ogniskiem buntu jest Kubań, gdzie ukazał się silny oddział kozaków kubańskich, którzy dokonali już licznych napadów na urzędy okręgu kubańskiego. Z Rostowa wysłano silne oddziały wojska specjalnego G.P.U. dla stłumienia ruchu. W pierwszych starciach było zabitych i zranionych po obu stronach wiele osób. W okręgu stawropolskim armja sowiecka ostrzeliwała z armat trzy wsie, które zrównała z ziemią". Inne dzienniki wiadomości tej nie podają, nie wiadomo więc, czy jest ona prawdziwa.

Mąż dwustu żon. W Arfyce południowej umarł niedawno wódz plemienia Basutów, Jonathan, jeden z najbardziej oddanych Anglikom kacyków. Pogrzeb zmarłego odbył się z zachowaniem starodawnych murzyńskich ceremonjałów, przy udziale urzędowych reprezentantów władz europejskich. Nad głęboką, na 12 stóp mogiłą usiadło w szkarłatnych, żałobnych strojach dwieście żon zmarłego. Włosy miały rozpuszczone i zawodziły z rozpaczy, zresztą zupełnie zgodnie. Wokół „niepocieszonych" dwustu wdów zgromadzili się poddani Jonathana. Jeden z europejskich świadków opowiada, że po pogrzebie, podczas którego całą noc płonęły stosy z piekącemi się wołami, odbyła się uroczysta stypa dla delegacyj, dworu kacyka i licznej rodziny. Twierdzi on, że w licznym haremie panowała zawsze zgoda, co przypisuje także temu, że wydatki na prymitywne stroje „pięknych" Basutek, są tak minimalne, że nie stają się nigdy powodem sporów.

Małpia szkoła. Kto wie, ile to pracy musi podjąć nauczyciel, nim dziecko nauczy czegoś, ten zapewne ze zdziwieniem przeczytał napis: „Małpia szkoła". A jednak pewien amerykański profesor powiedział sobie, że czasem małpę prędzej czegoś nauczy, niż niejednego człowieka i zabrał się do tej nauki. Profesor ten, będąc w dziewiczych lasach Afryki, badał tam obyczaje małp, a wracając do Filadelfji przywiózł ze sobą kilkanaście tych stworzeń. Wśród nich nadzwyczajnemi zdolnościami odznacza się młodziutka samiczka, którą ów profesor nazwał „Zuzią".



Według twierdzenia profesora „panna Zuzia" rozróżnia wybornie barwy i przedmioty, zna je po nazwisku i wie, co się do niej mówi. Rozumie doskonale, gdy się jej powie n. p. „chodź", „odejdź", usiądz na krześle", „czas już spać" i t. p. Profesor twierdzi, że z każdą małpą przez siebie wyuczoną potrafi się rozmówić, a dodaje, że jego wychowanka Zuzia swoim „rozumem" świat zadziwi. Obrazek nasz przedstawia owego profesora i „pannę Zuzię" w czasie nauki.

Barbarzyński zwyczaj. W Południowej Afryce, będącej pod panowaniem angielskiem, mieszka plemię Bawenta. Wskutek procesu, jaki odbył się tam obecnie przeciw pewnej kobiecie z tego plemienia, wyszły na jaw barbarzyńskie zwyczaje, jakie jeszcze tam do dziś dnia panują wśród ciemnych mieszkańców. Oto pewna kobieta w Louis Tichard urodziła bliźnięta: chłopca i dziewczynkę, które wkrótce zamordowała, dusząc je przy pomocy siostry. Ciałka nieszczęśliwych ofiar morderczynie później spaliły. O mord została matka małych istotek oskarżona i stanęła przed sądem. Szef plemienia, badany jako świadek, oświadczył, że stary zwyczaj nakazujący zabijanie bliźniąt był dotychczas ściśle przestrzegany. Dzieci należy dusić, aby uniknąć rozlewu krwi. Sąd jednak był innego zdania i skazał na śmierć dzieciobójczynię i jej siostrę. Ten sam przesąd, że przyjście na świat bliźniąt przynosi nieszczęście, jest rozpowszechniony również na Sumatrze, Jawie i Celebes. U niektórych plemion bliźnięta uważane są za dowód niewierności żony. Mąż w tym wypadku ma prawo zabić lub wypędzić żonę. Według innych wierzeń jedno tylko dziecko jest prawdziwe, a drugie ma być dziełem szatana i jedno tylko ma prawo do życia, drugie zostaje zabite. O wyborze rozstrzyga miejscowy czarownik. Na Jawie narodziny chłopca i dziewczynki uważane są za czyn wysoce niemoralny i w danym wypadku matka i dzieci powinny być zabite.

RZECZY CIEKAWE.

Historja obrączki ślubnej.

Według podań starożytnych Rzymian, żyła, przechodząca około czwartego palca lewej ręki, prowadzi do serca, wskutek czego przy obrzędach ślubnych na ten właśnie palec nakładana jest obrączka ślubna.

Obrączka ślubna przeważnie jest gładkim krążkiem bez upiększeń rytowniczych i drogocennych kamieni. Jest to symbol wiecznej wierności i miłości, a wiecznej dlatego, że pierścień ten nie posiada początku ani końca. Tylko na stronie wewnętrznej wyryte są pierwsze litery imienia i nazwiska nowożeńców data ich ślubu.

W dawnych czasach obrączki ślubne, były bardziej ozdobne, ale uważano je za wyłączny przywilej wyższych sfer społecznych, dla których wykonywano często istne cuda sztuki złotniczej.

Zwyczaj zamieniania obrączek ślubnych musiał powstać w głębokiej starożytności, gdyż w pierwszych już czasach istnienia Rzymu niewiasty rzymskie otrzymywały pieścienie zaręczynowe od swych narzeczonych.

Historja przechowała rozmaite wiadomości o obrączkach ślubnych nietylko głów koronowanych, lecz również osób innych.

Król Ludwik IX stale nosił pierścień ozdobiony liljami i ostrogami rycerskiemi, czyli herbem swoim i swej ukochanej żony, a wspaniały szafir, osadzony w pierścieniu, posiadał napis: „czyż można znaleźć miłość poza tym pierścieniem?"

W testamencie Marji Stuart, znajduje się wzmianka o kosztownościach tej nieszczęsnej królowej, pomiędzy któremi znajdowała się również obrączka ślubna. Prawdopodobnie królowa otrzymała ją od Darnleya przed podróżą poślubną.

Ofiarowanie pierścienia młodzieńcowi lub pannie uważane było w Hiszpanji za przyrzeczenie zawarcia mnłżeństwa, czego pilnie przestrzegało tamtejsze prawo.

Gdy wydawano dwuletnią ks. Marję, córkę Henryka VIII, za ośmioletniego syna króla Franciszka I, na drobniutki paluszek młodocianej oblubienicy włożono malutki złoty pierścionek, ozdobiony ślicznymi brylancikami.

Król Fryderyk IV ofiarował Annie Zofji pierścionek z napisem: „serce moje jest w twoich rękach".

Baronowi Rosenowi przed wywiezieniem na Sybir odebrano wszystkie cenne przedmioty. Gdy przyszła kolej na pierścionek, baron powstrzymał strażników i oświadczył: „To jest moja obrączka ślubna, którą możecie mi zabrać tylko z palcem".

Miljonowe miasta.

W gazetach angielskich znajduje się ciekawa statystyka miast, liczących przeszło miljon mieszkańców. Cyfry niestety są nieścisłe, gdyż dane dotyczące miast amerykańskich pochodzą z 1927 r. i 1929 r., europejskich zaś z 1927 r. Nie wymienia się również, jakie przedmieścia są dołączone do tych liczb. Lista przedstawia się następująco: Europa posiada 12 miljonowych miast, a to: Londyn (7.8 milj. mieszkańców), Berlin 4.1, Paryż 3.1, Moskwa 2.1, Wiedeń 1.8, Petersburg 1.6, Budapeszt 1.2, Glasgow 1.1, Hamburg 1.1, Warszawa 1.08, Neapol 1.05, Birmingham 1.02.

Ameryka posiada 10 takich miast: New-York 6.1, Chicago 3.2, Philadelphia 2.1, Detroit 1.4, Los Angelos 1.2, Cleveland 1.1, Boston 1.1, Saint-Louis 1.1, Buenos-Aires 1.1, Rio de Janeiro 1.7.

W Azji znajduje się tych miast dziewięć. Osaka 2.2, Tokio 1.5, Shanghai 1.5, Hankou 1.4, Kalkuta 1.3, Bombaj 1.2, Pekin 1.2, Kanton 1.1, Hańczou 1.

W Australji znajdują się tylko dwa miasta, których ilość mieszkańców przekracza miljon, a mianowicie Sydney 1.2 i Melbourne 1.1.

W Afryce tylko Kairo liczy 1.05 miljona mieszkańców.

Warszawa znajduje się zatem na dziesiątem miejscu w Europie.

Historja maszyny do szycia.

Jest rzeczą niewątpliwą, że gdyby wśród kobiet przeprowadzić ankietę na temat: kto wynalazł maszynę do szycia, okazałoby się, że olbrzymia większość nie zna zupełnie nazwiska wynalazcy, uważając zgoła niesłusznie, że jest ona płodem genjusza znanego fabrykanta Singera. Tak jednak nie jest.

Wynalazku maszyny do szycia dokonał Francuz, krawiec z Saint-Etienne — Bartłomiej Thimoninez, który żył w 1792—1857 roku. Swego epokowego wynalazku dokonał on w r. 1830 po kilkuletnich badaniach i doświadczeniach.

Oczywiście, owa pierwsza maszyna do szycia różniła się bardzo od obecnych, jak pierwszy samochód od obecnych limuzyn, wynalazek był jednak prawdziwym przewrotem w kunszcie krawieckim.

Thimoninez, pragnąc osiągnąć ze swego wynalazku korzyści, przeniósł się do Paryża i otworzył wielki zakład krawiecki, budząc sensację „maszynowem szyciem ubrań".

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że wynalazca maszyny do szycia zrobił majątek. Niezadowoleni z rujnującej ich konkurencji krawcy paryscy zniszczyli doszczętnie zakład Thimoninez'a, który zrujnowany, umarł w nędzy.

Ogórki.

Już w starożytnym Egipcie gorliwie zajmowano się hodowlą ogórków, w czem szczególniej celowała prowincja Mendes, w której przez odpowiednią uprawę ziemi otrzymywano ogórki przez cały rok bez przerwy.

Współczesny pisarz rzymski zdradza tajemnicę hodowli ogórków, podając, że aby ogórki miały delikatny, przyjemny smak, nasiona ich należy przez kilka dni moczyć w mleku i miodzie. W onym czasie spożywano jednak ogórki nie surowe, lecz gotowane i przyrządzone z octem. Przepadali za ogórkami również Rzymianie. Tyberjusz miał mieć je codziennie w odpowiedni sposób przyrządzone. Z upadkiem Egiptu i Rzymu minął okres świetności ogórków, tak dalece, że nietylko przestano się niemi delektować, lecz nawet uważano je za truciznę. Dopiero od stu mniejwięcej lat ogórki nanowo rozpowszechniły się i weszły w modę.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Marja Wawrzykówna** w P.: Wspomnienia o śp. księdzu senatorze Londzinie i opis Jego wspaniałego pogrzebu przeczytałem z prawdziwem wzruszeniem. Rzeczywiście była to postać świetlana, jakich w dzisiejszych czasach brudnego materjalizmu tak mało na świecie. Oprócz wielu Jego zasług dla Ojczyzny jedną może z największych było wydawanie „Gwiazdki Cieszyńskiej" zapomocą której utrwalał na Śląsku ducha polskiego i krzepił wiarę w sprawiedliwość Boską. Lata przeminą, z nas nie pozostanie śladu na ziemi, a po Nim trwać będzie pamięć, póki naród polski istniał będzie, a więc na zawsze. Za przesłaną mi fotografję i artykulik serdecznie dziękuję. — **Ma-**

ryla **„Widz“** w O.: Jakkolwiek nadesłana nam praca jest bardzo pięknie napisana, to przecież nie uważamy za stosowne ogłaszać jej drukiem. Przyzna Panna Marylka, że rozgłaszanie światu tak smutnej tragedji p. S. mogłoby jej przykrość zrobić, a na nią nie zasługuje. Cóż z tego, że ona tu winy żadnej nie ponosi, owszem, jest czysta, jak łza, ale niejeden z czytelników mógłby sobie inaczej rzecz całą komentować. Czyż nie prawda? Wszystkie utwory, które oznaczamy, jako dobre do druku, przechowujemy starannie. A że ich nie drukujemy zaraz, ale czasem muszą odleżeć i kilka miesięcy, to już nie nasza wina. Żeby to tak „Rola“ mogła mieć przynajmniej poczwórną objętość, toby się jakoś wszystko pomieścić mogło. Gdyby więc Pani wrazie pobytu w Krakowie zechciała niektóre z nich wycofać, to są do dyspozycji. — **„Jasnowłosa“** z Tarnowa: Kochane dziewczątko jest bardzo niecierpliwe. Logogryf leży w teczce i marzy o swej właścicielce, czekając może conajmniej z tysiącem innych na swą kolej. Bura, że mało miejsca swej przyjaciółce poświęcam w „Roli“ jest niesłuszna. Gdybym ja chciał do każdej przyjaciółki „Roli“, no a temsamem i mojej, choć jedno słowo powiedzieć, to trzebaby temi słowami z tysiąc stron zadrukować. Powieść „Branki tatarskie“ zajmą 17 numerów „Roli“; cieszy mnie bardzo, że się Pani podobają. Twierdzenie, żem miał zapewne już nieraz styczność z kobietami i że wiem, iż z niemi trzeba zdala, to część pierwsza tego twierdzenia jest bardzo bliska prawdy, ale druga? Któż zdołał naprawdę poznać kobietę? Zna się ją tylko z wierzchu i tu są one wszystkie do siebie podobne, ale wartość ich wewnętrzna jakże różną bywa! I dlatego od jednej, gdy się jest najbardziej zdala, to najlepiej, a co do innej przeciwnie. A ja ani tego, ani tego się nie boję. I ja nawzajem pozdrawiam „najserdeczniej, jak tylko mogę“. — **Franciszek J. Tryszczyła** w K.: „Preludjum majowe“ zamieścimy w przyszłym numerze. Dzięki. — **Józef Frączek:** „Idzie, idzie Maj królewicz“ już nieco spóźnione. Można to było wydrukować w ostatnim numerze kwietniowym lub pierwszym majowym. Zagadki zużytkujemy. — **Dominik Budny** w P.: Za tak miłe dla nas słowa uznania serdecznie dziękujemy. Robimy, co możemy, aby Czytelników jak najbardziej zadowolić. Wprawdzie niejedną jeszcze rzecz możnaby udoskonalić, ale na to trzeba koniecznie pieniędzy. A tu tymczasem „Rola“ nie otrzymuje znikąd ani grosza zasiłku, więc musi istnieć własnemi siłami i gospodarzyć się oszczędnie, aby na wszystko wystarczyło. Druk i papier dużo pochłaniają pieniędzy. Materjał na radjo można dostać w wielu sklepach w Krakowie i innych miastach. Niech Pan napisze np. do firmy A. Mołodecki w Krakowie, ul. Florjańska 49, a prześlą Panu cennik. — **Janina Słomska** w L.: Ciekawa Pani, jak wygląda redaktor „Roli“? Jak nie patrzy do lustra, to zdaje mu się, że śliczny, ale gdy popatrzy, to zmienia natychmiast zdanie. A w rzeczywistości jest to sobie taki zwykły śmiertelnik, który całemi dniami męczy najwierniejszą swą przyjaciółkę, to jest maszynę do pisania i na przyjemności nie ma wiele czasu. Ściskam serdecznie te łapki, które taki cudowny liścik napisały. — **Jerzy Benek** w B.: Nie wiemy, czy owa rzecz dla nas miałaby jaką wartość, więc w tej sprawie zgody zgóry dawać nie możemy. Roczniki kosztują z roku 1927 9 zł. 50 gr. z r. 1928 11 zł. — **Wojciech Augustyn** w C.: Dla takich ludzi, jak naczelnik gminy w Jożwinach trzeba mieć wyrozumienie. Przemawia u niego tylko zazdrość, że drudzy w gminie mogą sobie coś przeczytać, a on nic — bo analfabeta. Żal mu było na naukę czytania chociaż w późniejszych latach, żal mu też i obecnie na gazety, aby mu ją ktoś czytał. Że też to w gminie wybrali takiego, co to „ni cytaty, ni pisaty“.

Unieważnia się zgubioną książeczkę Nr. 183 na wkład 400 rubli carskich w złocie, wydaną dnia 12. VI. 1912 r. przez były „Poczajów Wołyński Narodny Kredyt“ na imię Jana Iwasyka, wsi Ryszkowce, gm. Wierzbowiec, pow. Krzemienieckiego. — Wołyń.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Fr. Rajca z T.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Człowiek mały.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w staroż. Grecji
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Metal.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Chłopiec dający znak do ataku
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Rządca.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Półgłówek.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Budzę w języku martw.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierz leśny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Część ubrania.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Utwór poety Homera.

W miejsce kwadracików wstawić litery, które czytane z góry na dół dadzą imię władcy starożytnego świata.

2. Szarady.

(Ułożył Jan Gara z W.).

I.

W sławnych norach i jaskiniach gry
Są karty wspak pierwsze, wprost trzy,
Czwarte wspak, pierwsze ma rada
W miarę trzecie czwarte używać wypada;
Gdy zabrzmi drugie czwarte słowy
Zobaczysz tłumu obnażone głowy,
Całość to sztuka, nie każdy nią włada,
A jednak ją zgadnąć wypada.

II.

Wspak pierwsze, wprost trzecie
Towary pakują na świecie,
W rządach kształcone osoby
Dzierżą drugie trzecie;
A dobrze o tem wiecie
Gdzie całość tam leczą choroby,
Cierpienie ginie, sił nowych przybywa
Jak się ta placówka nazywa?

3. Przestawianki.

(Ułożył Alfons Czader z S.).

I.

Halo! Panna P. chce pozować.

II.

Przyjdzie kat synka, Masaryk.

III.

Syn Tomko tłucze ofiarę.

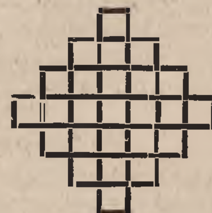
IV.

Wanda niesie Kazi ul.

Z powyższych zdań ułożyć znane przysłowia.

3. Zagadka.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).



1. Spółgłoska. 2. Ptak. 3. Choroba. 4 Ładny owad. 5. Pokój. 6 Rzeka w Niemczech. 7. Spółgłoska.

Wyrazy poziome mają tosamo znaczenie, co i pionowe.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 18-go b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 17 „Roli“: 1. Trójkąt magiczny: Ks. Piotr Skarga. 2. Szarada: Kowalskina. 3. Zagadki: I. Je-ej. II. No-on. III. Mur-rum. IV. Zagadka astronomiczna: Jan Pelczar. 5. Kryptogram: Pierwsze uczucie matka w sercu dziecka budzi; mistrzowie kształcą uczniów, matki tworzą ludzi. 6. Układanki: I. Grochów. II. litera. III. Amator. IV. Barcelona.

Dobrego rozwiązania **wszystkich** zagadek w oznaczonym czasie nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Pijany: Przepraszam, czy panienka nie wie, gdzie mieszka Jan Walczak?

Służąca: Przecież to pan sam jest.

Pijany: To, to ja wiem, ale nie wiem, gdzie mieszkam.



Zrozumiała.

— Luteczko, co ty najlepiej ze wszystkiego lubisz przy herbatce: wędliny, ciasteczka, serki, chlebek z masłem?

— Ciotuchno, ja najlepiej lubię przy herbatce pana Władysława.

Odnaleziona kartka wojenna.

...i, kochana Jadziu, nie wymyślaj mi tak ciągle w swoich listach: przynajmniej teraz oszczędź mi wyrzutów. Tutaj na froncie jestem o trzy tysiące kilometrów oddalony od domu i chciałbym przeżyć wojnę spokojnie...



Sztuka kulinarna.

— Moja droga, jesteśmy już dwa tygodnie po ślubie, a ty codziennie dajesz mi na obiad gulasz!

— Mój Boże, toć staram się jak mogę: biorę codziennie inne mięso, codziennie inne przyprawy i zawsze wychodzi z tego gulasz.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 2 maja b. r.

Pszenica	50·50—51·00	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto	34·50—35·00	Ziemniaki stoł.	10·00—11·00
Owies	35·50—35·50	Koniczyna nasienn. czer.	230·00—260·00
Jęczmień	33·00—34·00		
Fasola biała	180·00—190·00	Mąka żytnia	50·50—51·00
Groch zwyk.	58·00—62·00	Mąka pszen.	77·50—78·50
Siano słodk.	25·00—28·00	Otręby pszen.	29·00—30·00
Łubin żółty	40·00—42·00	Otręby żytnie	27·00—27·50

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 2 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·00 do 1·80 zł.	Jałownik	od 1·04 do 1·80 zł.
Woły	od 1·51 do 1·90 zł.	Cielęta	od 1·08 do 2·23 zł.
Krowy	od 1·00 do 1·70 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·55 do 2·76 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·00 do 3.60